Nr. 36 • 3 • IX • 1932

PISMO TYGODNIOWE ILUSTROWANE



ŚWIAT

Co otrzymuje prenumerator „ŚWIATA" za 5 zł. miesięcznie?

1) Co tydzień zeszyt „Świata" zawierający zawsze ciekawą i aktualną treść oraz obfite ilustracje;

2) Co tydzień kupon zniżkowy (50%) do b. teatrów miejskich w Warszawie;

3) Raz na miesiąc duży tom interesującej powieści.

Prenumerata miesięczna z odnoszeniem do domu: zł. 5.50, na prowincji zł. 6.—.

Cena pojedyńczego numeru wynosi w całej Polsce zł. 1.—.

„ŚWIAT" rozchodzi się na całą Polskę: od Bałtyku po Karpaty i od Wileńszczyzny po Śląsk.
A więc ogłoszenie w „Świecie" dociera do wszystkich

HUMOR

Kochane dzieci.

— Bój się Boga Franiu, chyba nie połknąłeś całej szpilki do włosów?!

— Nie, mamusia, połowę dałem siostrzyczce!

ŚWIAT

POD KIEROWNICTWEM NACZELNEM STEFANA KRZYWOSZEWSKIEGO

WARSZAWA, DNIA 3-go WRZEŚNIA 1932 ROKU

ROK XXVII • NR. 36 • CENA NUMERU 1 ZŁOTY

Nowa era w szkolnictwie

(Z powodu rozpoczynających się lekcji)

Rozpoczynający się rok szkolny stanowi przełom w organizacji naszego systemu edukacji narodowej. Ośmioklasowe gimnazjum klasyczne, humanistyczne czy przyrodniczo-matematyczne przestaje istnieć; ukończą je już tylko obecni uczniowie; nowych roczników nie przyjmuje się. Pierwsze dwie klasy odchodzą do szkolnictwa powszechnego, które odtąd programowo i organizacyjnie będzie powiązane ze szkolnictwem średniem, rozpoczynającem się nie dla dzieci 10—11-letnich, jak dotychczas, lecz dla 12—13-letnich. Szkoła średnia (gimnazjum) — jednego typu ogólnego — trwać ma tylko cztery lata i kończyć się z osiągnięciem przez normalnych uczniów 16—17 lat. Jest to wiek, w którym można już zorjentować się w zdolnościach, zamiłowaniach i możliwościach młodzieńca. Jedni więc kończyć na tem będą swoje wykształcenie i wejdą w życie zarobkowe, inni przeniosą się do specjalnych szkół zawodowych, wreszcie jeszcze inni zaczną przygotowywać się do studjów wyższych, dzieląc się już na specjalności; odbywać się to ma w nowym typie szkół dwuletnich, zwanych liceami. Stąd w 18—19 roku życia przechodzą już do szkół akademickich.

Nowe ustawy wprowadzają więc zasadnicze zmiany głównie w szkolnictwie średniem, co ma doniosłe znaczenie dla całej warstwy inteligencji. Dlatego tak namiętne spory toczyły się na ten temat. Obok entuzjastów reformy, znaleźli się zapamiętali jej przeciwnicy, broniący dotychczasowego stanu rzeczy. Zwłaszcza sfery uniwersyteckie wypowiadały się za utrzymaniem ośmioklasowego gimnazjum.

Ten konserwatyzm szkolny nie przemawia nam do przekonania. Gimnazjum dzisiejsze pomyślane było, jako szkoła, przygotowująca do uniwersytetu. Matura dlatego tylko była ceniona, że otwierała wstęp do niego. W życiu zarobkowem — w handlu, w przemyśle, w zawodach wolnych — nic nie dawała. Można z nią było najwyżej zostać kancelistą w biurze prywatnem czy w urzędzie, tak samo zresztą, jak i bez niej. Kto więc w braku środków materjalnych czy zamiłowania do nauki nie wstępował na wyższe uczelnie, ten, mając nawet maturę, po 8 latach ślęczenia w szkole średniej stawał się wykolejeńcem życiowym, nie wiedzącym, co z sobą począć. Od dziecka przyzwyczajony do myśli o patencie uniwersyteckim, o tym nowoczesnym dyplomie szlachectwa, uważał wyrzeczenie się jego za kataklizm życiowy.

Gorzej było z tymi, co opuszczali gimnazjum z 6-ej, 7-ej klasy. Niedouczeni, nieprzygotowani do życia praktycznego, tworzyli zastępy niebezpiecznych dla społeczeństwa pół-inteligentów, zarozumiałych a bezwartościowych, nieustabilizowanych umysłowo, ani moralnie, gotowych podjąć się wszystkiego, przerzucać się z jednej dziedziny do drugiej, z miejsca na miejsce, nie gardzić żadnym zarobkiem, żadnym środkiem zdobycia pieniędzy czy pozycji. Takie szkodliwe odpryski dawała zbyt długa, ośmioletnia, o

nastawieniu teoretycznem szkoła średnia.

I gdybyż przynajmniej produkowała doskonale tę elitę, dla której poświęcała większość swych wychowanków, tę wybraną garstkę, dostającą się do szkół wyższych! Ale oficjalne opinje profesorów i senatów akademickich o naszych maturzystach wypadały naogół ujemnie. Uniwersalne programy gimnazjalne zbyt były przeciążone, aby uczniowie mogli wchłonąć i przetrawić ogrom przepisanej wiedzy. Uczyli się po łebkach, dla stopni, na egzamin, byle prześlizgnąć się. Skutek był ten, że nie umieli pisać ortograficznie, nie posiadali elementarnych wiadomości z nauk przyrodniczych, nie orjentowali się w zasadniczych zjawiskach historycznych, społecznych, gospodarczych. Umysł ich nie przedstawiał się, jak nowoczesne mieszkanie, umeblowane małą ilością najpotrzebniejszych, celowo dobranych, ustawionych na właściwem miejscu porządnych sprzętów, lecz wyglądał raczej na graciarnię, przypadkowo nagromadzoną i nigdy nieprzewietrzaną.

Wyniki, osiągnięte przez dotychczasowe szkolnictwo średnie, potępiły je bezwzględnie i narzuciły potrzebę reformy; powstała konieczność przystosowania go do obecnych warunków życia, które odrzucają dyletantyzm i żądają fachowości, degradują abstrakcyjność, a wysuwają na pierwszy plan praktyczność, przekreślają wyższość socjalną pewnych zawodów i głoszą równość wszystkich zajęć pożytecznych dla społeczeństwa, oraz należycie wykonywanych. Słusznie powiedział Dmowski, że szewc, robiący dobre buty, więcej wart od kiepskiego uczonego.

Te cele postawiła sobie na widoku reforma szkolna. Rozbicie zbyt długiego okresu nauczania na krótsze, logicznie pomyślane, stanowiące pewną całość odcinki zapobiegnie szkodliwemu społecznie zjawisku opuszczania szkoły w połowie drogi. Co parę lat rodzice i młodzież będą mogli zastanowić się, czy jeszcze kontynuować studja i w jakim kierunku. Zmniejszy się ilość wykolejeńców, malkontentów i niedouków, powiększy się liczba fachowców różnych gałęzi i różnego stopnia. Będzie to jakby pomnożeniem ilości zwrotnic i rozjazdów na torze szkolnym.

Zamierzony rozwój szkolnictwa zawodowego i zrównanie go w prawach z ogólnokształcącem — zahamuje owczy pęd ku gimnazjom i maturom, niezdrowy i nieodpowiadający potrzebom społecznym. Kilkakrotnie w wieku szkolnym będzie można pomyśleć nad wyborem zawodu, dokonać go później, gdy już ujawnią się zdolności i zamiłowania osobiste, naprawić wczas popełnione omyłki. Ustrzeże to nas od tak absurdalnych zjawisk, jakie teraz zdarzają się na porządku dziennym, gdy medyk z wykształcenia okazuje się zamiłowanym oficerem lub rasowym publicystą, a genjalni lekarze, obdarzeni przyrodzonemi ku temu zdolnościami, nie mogą praktykować w braku dyplomu medycznego. Zapobiegnie marnowaniu sił duchowych i zaoszczędzi wielu nieprodukcyjnie zużytych środków materjalnych.

Racjonalnie pomyślana reforma szkolna o tyle jednak przyniesie spodziewany pożytek, o ile zostanie dobrze wykonana. I tutaj nastręczają się poważne obawy, czy da się ją przeprowadzić pomyślnie w warunkach obcinania budżetu oświaty i oszczędzania przez państwo i samorządy na najpotrzebniejszych wydatkach szkolnych.

Parę przykładów zilustruje grozę sytuacji. Gimnazja państwowe nie otwierają w tym roku pierwszych klas, realizują więc pewną oszczędność. Logicznie rozumując, powinna być ona użyta na założenie odpowiedniej ilości szkół powszechnych, względnie ich piątych oddziałów, któreby mogły wchłonąć rocznik, wstępujący zazwyczaj do gimnazjów. Tymczasem niczego podobnego nie widzimy. Państwo nie interesuje się losem tego rocznika, conajwyżej pozwala zwiększyć ilość uczniów w istniejących już szkołach powszechnych ponad dawną normę. Klasy mają liczyć po 60 wychowanków i więcej. Czy nauka w tych warunkach może dać dobre rezultaty? I, co ważniejsze, czy w czasach, gdy taki nacisk kładzie się na wychowanie fizyczne, gdy poświęca się na nie wielkie fundusze, czy wolno dziesięcioletnie dzieci skazywać na przebywanie po kilka godzin dziennie w przeludnionych, dusznych, pozbawionych tlenu lokalach szkolnych?



Jeśli Ministerstwo Oświaty przechodzi nad tem do porządku dziennego, to nie mogą pozostać obojętni rodzice tych dzieci. Dlatego nie poślą ich do bezpłatnych publicznych szkół powszechnych, zagrażających zdrowiu i niegwarantujących postępu w nauce, lecz będą musieli kontynuować przez dalsze dwa lata kształcenie w domu, na kompletach, albo oddawać je do szkół początkowych prywatnych, powstających teraz, jak grzyby po deszczu. Jedno i drugie drogo kosztuje, w czasach kryzysu zaważy mocno na budżecie rodziny.

A państwo, przy pomocy nowej, słusznej w zasadzie ustawy, wyłamuje się z pod obowiązku, który dotychczas spełniało i całą troskę o kształcenie młodzieży pozostawia obywatelom i podatnikom.

Weźmy inny przykład. Zwijane są seminarja nauczycielskie; w tym roku już nie będzie pierwszego kursu. Doskonale! Jest to typ uczelni raczej kastowej, niż zawodowej, typ przestarzały, jak korpusy kadeckie. Ale czy Ministerstwo Oświaty pomyślało, co ma robić te siedem tysięcy młodzieży, które rok rocznie szły do seminarjów? I jak będzie wyrównana luka, która powstanie za pięć lat w kadrach nauczycielskich? Nie słyszeliśmy, aby zakładano nowe „pedagogica". Nie przypuszczamy też, żeby kurs oszczędzania na oświacie i nieotwierania nowych szkół dla coraz liczniejszych roczników szkolnych trwać mógł jeszcze do tego czasu.

Takich aktualnych dolegliwości, wynikłych z nowej ustawy szkolnej, możnaby wyliczyć więcej. Nie widać, aby Ministerstwo zbytnio się niemi przejmowało. Czyżby uważało, że opracowaniem i przeprowadzeniem przez Sejm dobrej ustawy wyczerpało swe zadanie, a załatwienie bieżących trudności odkładało do lepszych czasów?

Byłoby to pożałowania godne nieporozumienie. Kto podjął się wielkiego dzieła przekształcenia naszego szkolnictwa, ten musi doprowadzić je do końca i czuwać, aby chwilowe zaniedbania i drobne niedokładności nie zarysowały całego gmachu, z takim mozołem wzniesionego.

W. Giełżyński

POWRÓT Z WAKACJI



Marszałek Piłsudski, po odpoczynku w Pikiliszkach, przyjechał z córkami do Warszawy

Fot. „Światowid"

Pokolenie nieznające pracy

(Tragiczne położenie warstw pracujących w Niemczech)

Stały mieszkaniec Berlina oswoił się już dostatecznie z tym widokiem, ale przyjezdny staje zdumiony i pyta w duchu: jakżeż to możliwe, aby takie sceny rozgrywały się w centrum Berlina, w dzielnicach najbardziej reprezentacyjnych?

Widok wszędzie ten sam: przy wejściu do hotelu, przed sklepami, przed stacją kolei podziemnej, dworcami, kawiarniami — falanga żebraków natarczywie domaga się jałmużny.

Przemawia taki żebrak tonem tak swoistym, że przechodnia opada strach. Mimowoli więc przygląda się proszącemu. Chłop rosły, barczysty, młody i wysportowany. Wpycha ci gwałtem parę sznurowadeł lub pudełko zapałek. Gdy obcy okaże litość tym fikcyjnym sprzedawcom, będzie mógł w ciągu jednego dnia nakupić sznurowadeł i zapałek na całe życie.

Istnieje niezliczona ilość sposobów, jakiemi posługują się ci nieszczęśliwi w pogoni za wsparciem, przy coraz większej nędzy i coraz oporniejszych ofiarodawcach. Jak zawsze w Niemczech, zastosowano i w tej dziedzinie metodę, aby nie marnować wysiłków. Żebracy, wczorajsi robotnicy, wpadli na pomysł systematycznego eksploatowania miłosierdzia ludzkiego. Chodzą po mieszkaniach w pojedynkę, ale mają organizację. Grupy żebracze z pewnej dzielnicy notują nazwiska tych, którzy dają jałmużnę; następnie lista wędruje — w drodze wymiany — do innej grupy. Gdy żebrak dozna w jakimś domu cieplejszego przyjęcia, podąża za tą rodziną, choćby się przeniosła w inne dzielnice.

W ostatnich czasach mnożą się w okolicy nowych osiedli zachodnio-południowego Berlina napady rabunkowe. Policja utrzymuje, że to żebracy, znając doskonale stosunki w każdem mieszkaniu, z łatwością dokonują włamania w odpowiedniej chwili. Zdarzają się przy tem zjawiska zastanawiające, że włamywacze, rozgniewani na niedostateczny łup, rozbijają rozmyślnie kryształy i niszczą urządzenia domowe, których nie mogą wynieść. Kilka takich band policja już zlikwidowała. Na ulicach w nocy zdarzają się często napady na przechodniów; grupa bezrobotnych przystępuje z żądaniem zapomogi... na wódkę. Kilku drabów napadło niedawno na sekretarza jednego z poselstw, który dał im skromny datek. Uznali, że to stanowczo zamało, jak na cudzoziemca, i dotkliwie go poturbowali.

Pewnego razu zadałem niedyskretne pytanie urzędnikowi policyjnemu, czemu przypisać tę straszliwą plagę żebractwa, która ludziom uprzykrza życie, a żebrakom w rezultacie napewno niewiele daje?

Odpowiedział mi dosłownie:

— Mogę pana zapewnić, jako specjalista w sprawach społecznych, że pomimo straszliwego kryzysu niemieckiego, który pozbawił pracy około 6 miljonów ludzi, nikt z tych bezrobotnych nie umiera z głodu... Żebrzą, bo zaopatrzenie, jakie otrzymują, nie stwarza im, rzecz prosta, rajskiego życia, ale od śmierci głodowej są napewno chronieni. Niech pan zwróci uwagę, że w bieżącym roku budżetowym Niemcy wydają na pomoc dla bezrobotnych we wszystkich formach zgórą dwa miljardy marek...

Zapomogi dla bezrobotnych są w Niemczech trojakiego rodzaju. Pierwszy etap — to ubezpieczenie, coś w rodzaju naszego funduszu bezrobocia. Tu każdy robotnik, po spłaceniu przepisanej ilości składek, jest uprawniony do podejmowania zasiłków. Pierwsza wypłata następuje najpóźniej w ciągu dwóch tygodni od chwili utraty pracy, ale ojcowie rodzin — dzietni mają prawo do wcześniejszego terminu zapomogowego.

Gdy bezrobotny wyczerpał okres zasiłkowy z tytułu ubezpieczenia, a pracy nie uzyskał, przechodzi do drugiej kategorji zapomogowej — t. zw. „pomocy kryzysowej". Tu działa już inna zasada: badanie szczegółowe, czy kandydat istotnie pomocy potrzebuje, czy stosunki rodzinne nie dają możności częściowego ulżenia jego doli, czy wreszcie nie posiada gdzieś działki ziemi, która mogłaby go wyżywić. W krajach południowo - niemieckich, gdzie reforma rolna stworzyła typ robotnika, osiadłego na roli i dojeżdżającego na pracę do miasta, samorządy i państwo w znacznej mierze wolne są od niesienia pomocy tej kategorji bezrobotnym, ograniczając swą interwencję jedynie do pewnej formy ulg podatkowych i t. p.

Na pomoc kryzysową łoży w olbrzymiej części rząd Rzeszy, a tylko nieznaczna część kosztów pokrywana jest przez samorządy, choć administracja fundaszami „pomocy kryzysowej" pozostaje całkowicie w ręku samorządu.

Termin pobierania zasiłków z tego źródła jest równy terminowi ubezpieczeniowemu.

Stopień ostatni opieki nad bezrobotnym, najdłużej trwający, ale też najprzykrzejszy, to dobroczynność publiczna. Tu badanie istotnej konieczności zasiłkowej jest jeszcze skrupulatniejsze, gdyż pomoc ta trwać może całemi latami...

Stawki zapomogowe, wypłacane bezrobotnym we wszystkich trzech kategorjach, zostały ostatniemi czasy zredukowane, ale od śmierci głodowej napewno chronią.

Pamiętajmy jednak, że robotnik, który miał okres dobrobytu i wysokich zarobków w okresie konjunktury, nie chce pogodzić się z myślą, że jego obecna sytuacja jest czemś normalnem, gdy musi się liczyć z wydatkiem każdego feniga.

I może ta sytuacja bezrobotnych, formalnie chronionych od śmierci głodowej, lecz niezadowolonych, tłomaczy fantastyczny wzrost głosów, jakim wykazać się mogą skrajne stronnictwa. Bezrobotny, żyjący w niepewności jutra, niewiele ryzykuje, gdy hitlerowcom lub komunistom oddaje głos swój i żony, zwłaszcza, że oprócz obiecywanej mu różowej przyszłości otrzymuje częstokroć z kasy partyjnej doraźny zasiłek.

*

O ile sytuacja bezrobotnych ze starszego pokolenia mieści w sobie dużo niebezpieczeństw natury społecznej, o tyle młodsze pokolenie bezrobotnych stanowi wręcz materjał, grożący każdej chwili wybuchem.

Młodzież bezrobotna jest gorzej traktowana przez rząd, niż pokolenie starsze. Względy finansowe podyktowały szereg zarządzeń oszczędnościowych, ograniczających uprawnienia samotnych i bezdzietnych. Zarządzenia te przyczyniły się do jeszcze większego zradykalizowania młodego pokolenia i pchnęły je w ramiona skrajnych obozów.

Młodzież — to rana narodu niemieckiego. Jest buńczuczna, wyzywająca, nie uznaje żadnych autorytetów, wędruje z obozu do obozu i nie może znaleźć oparcia ani też odnaleźć siebie i swej roli w Niemczech współczesnych...

Jedyną treścią jej życia jest ne-

TYPOWY OBRAZEK Z ULIC BERLINA



W walkach między zwolennikami różnych partji musi nieustannie interwenjować policja. Nadaje to miastu swoisty wygląd

Rys. „The Illustrated London News"

gacja i — nienawiść. Czy jest komunistyczna? Częściowo tak. Odczuwa dotkliwie niesprawiedliwość społeczną, niemożność zużytkowania swych zdolności, konieczność życia z dnia na dzień. Dlatego hałasuje głośno i przyklaskuje krzykaczom komunistycznym.

Nie jest komunistyczna, gdy chodzi o wyznawanie konsekwentnej wiary rewolucyjnej. Gniecie ją troska, więc chciałaby jakoś radykalnie przyczynę tej troski usunąć, nie wdając się w żadne deliberacje na temat przebudowy świata. Przeciwnie. Jej chodzi tylko i wyłącznie o zmianę stosunków w Niemczech, aby było pracy i zarobków wbród.

Podrasta obecnie w Niemczech pokolenie, które nigdy nie zaznało jeszcze dobrodziejstwa pracy i zarobku. O tem, że można żyć z pracy rąk lub pracy umysłu własnego, słyszało, ale nie może sobie wyobrazić, jak się to właściwie dzieje? Choć różne jest nastawienie i różne są tradycje młodzieńca z domu robotniczego i mieszczańsko-inteligenckiego — wspólna im jest nienawiść do obecnego stanu rzeczy. Student, który ukończył politechnikę, medycynę, lub prawo, a nie ma posady i robotnik, który nie znajduje zatrudnienia w fabryce, stają się właściwie jednakowo wrogim otoczeniu żywiołem.

*

Młodzież akademicka, kończąca studja, reprezentuje typ ze wszystkich najgroźniejszy. Jest całkowicie pod wpływem bzdurnych haseł Hitlera, gotowa jest na każde jego skinienie rzucić się do walki z byle kim. Jej horoskopy życiowe układają się obecnie jaknajgorzej. Drogi w świat są zamknięte. Emigracja do krajów sąsiednich niemożliwa. W ojczyźnie kurczy się produkcja, a rynek pracy obciążają coraz to nowe racjonalizacje i nowe redukcje.

Mówi z taką nienawiścią o obecnej rzeczywistości niemieckiej, że można po niej spodziewać się wszystkiego.

— Czy jest pan zwolennikiem Hitlera? — zapytałem pewnego bezrobotnego inżyniera, absolwenta politechniki berlińskiej.

— Panie! — odpowiedział. Nienawidzę polityki, Hitlera uważam za matołka i demagoga. Głosuję jednak stale na hitlerowców, bo może oni coś odmienią. Cóż zresztą mam do stracenia?

Z takiem nastawieniem wobec społeczeństwa, z rozgoryczeniem w duszy za doznane niepowodzenie, młodzież staje się podatną pod wszelkie podszepty. Troska o byt i towarzysząca jej obraza człowieka z kwalifikacjami z powodu niemożności zastosowania tych kwalifikacji i wybicia się — jest decydującym czynnikiem psychicznym u tej kategorji obywateli Niemiec.

*

Co z tą młodzieżą począć, co zrobić z tymi, którzy nie mają nadziei powrócić do warsztatów pracy, jak stworzyć im iluzję pracy i utrzymania się z niej?

Wyrzuceni z fabryk i warsztatów, a mający jakiś związek z rolą wpadli na pomysł kolonizowania dzielnic podmiejskich. Dzierżawią od miasta lub właścicieli gruntów drobniutkie parcele z obowiązkowym ogródkiem, który pięknie i starannie uprawiają i jakoś się przepychają przez życie.

Wieńcem takich kolonji, z liliputciemi ale czystemi chatkami, zbitemi z desek, upstrzone są okolice podmiejskie Berlina.

Zależnie od kierunków politycznych, mieszkańcy tych kolonji wywieszają przed chatką emblematy polityczne.

Koloniści wspólnemi siłami budują studnię, pomagają sobie i tworzą organizację, z którą miasto musi się liczyć.

Próbowano w ostatnich czasach jeszcze innej formy zatrudnienia bezrobotnej młodzieży: ochotniczej służby pracy. Praca ta jest tańsza, niżby kosztowała, gdyby chciano zatrudniać robotników według płac taryfowych przy budowie dróg i szos, wycinaniu lub regulowaniu lasów.

Ta próba, która tylko drobną część młodzieży ogarnęła, ma ukryte cele szkolenia młodzieży w rzemiośle wojennem, — i zasadniczego zagadnienia młodzieży nie znającej pracy nie rozstrzyga...

Związki sportowe, szkolenie wojskowe młodzieży, tajne stowarzyszenia o charakterze wojskowym — wszystko to spełnia poważną rolę w życiu armji niezatrudnionych rąk i głów w Niemczech, ale nie może rozwiązać problematu bezrobocia. Służy raczej celom wzmożenia siły bojowej Niemiec.

Zawiedziona, rozgoryczona, wykolejona, stanowi ona dla Niemiec takie niebezpieczeństwo, jak przed wojną — chorobliwy stan podniecenia w kołach militarno-junkierskich. Wtedy wiedziano dokładnie, że ma być wojna, która przysporzy Niemcom chwały i terytorjów, teraz wiadomo tylko, że stać się musi coś niezwykłego, aby setki, tysiące i miljony niemców znalazły zatrudnienie.

Kto umie czytać w duszach mas, ten dopatrzy się w usposobieniu i nastawieniu pokolenia niemieckiego, które pracy nie zaznało, wielkiego niebezpieczeństwa dla samych Niemiec, a obok nich i dla sąsiedniej — Polski.

Wręb.

TYDZIEŃ „ŚWIATA"

(Wig.) W wielkim międzynarodowym konkursie lotniczym, rozgrywającym się na przestrzeni ośmiu państw europejskich, a głównie w Berlinie, odnieśliśmy wspaniałe zwycięstwo: lotnik polski — por. Żwirko zajął pierwsze miejsce, zdobywając dla Aeroklubu Polski puhar przechodni, a dla siebie 100 tys. franków fr. Słuszna jest z tego powodu radość naszego społeczeństwa i duma z polskiego pilota.

Ale nie wpadajmy w przesadę. Wyprowadzanie z tego faktu wniosków o wyższości naszej techniki i naszej awjacji — jest niegodną trzeźwego narodu megalomanją. Niemcy mają w każdem średniem miasteczku lotnisko, setki stałych linji komunikacyjnych, olbrzymie fabryki samolotów, dostarczających całemu światu sprzętu lotniczego, własne motory, doskonałe wynalazki. Nasze lotniska i fabryki można policzyć na palcach, a korzystamy przeważnie z cudzych patentów. Wprawdzie posiadamy już dzielnych pilotów, którzy nam robią dobre imię na świecie, a nawet, jak widać obecnie, zdolnych konstruktorów, ale nie należy samemu dać się oszałamiać sukcesem propagandowym.

W najpiękniejszym wyczynie sportowym szczęście odgrywa wielką rolę. Żwirce w odbytej konkurencji, mimo bezwzględnych walorów osobistych, dopisywało ono widocznie, jak Orlińskiego prześladował pech. Opieranie na poszczególnym wypadku przekonania o naszej wyższości technicznej byłoby lekkomyślnem samooszukiwaniem się.

Nietylko w porażce, ale i przy zwycięstwie należy zachowywać umiar i godność. Tym razem musimy podnieść kulturalność tłumu berlińskiego, który, doznawszy na

Tryumfalny lot polski nad Europą



PORUCZNIK FRANCISZEK ŻWIRKO, ZWYCIĘZCA „CHALLENGE“ 1932 R.



JEDNOPŁATOWIEC TYPU R. W. D. 6, KONSTRUKCJI POLSKIEJ INŻYNIERÓW REGULSKIEGO, WIGURY I DRZEWIECKIEGO Fot. Jan Ryś



ROZENTUZJAZMOWANY TŁUM PIĘDZIESIĘCIOTYSIĘCZNY WITA POR. ŻWIRKĘ NA LOTNISKU MOKOTOWSKIEM



ŻONA BOHATERA Z SYNKIEM NIE MOŻE PRZEDOSTAĆ SIĘ DO MĘŻA

miejscu przykrego dla ambicji narodowej rozczarowania, gdy aeroplan polski najpierw ukazał się na horyzoncie, umiał opanować swe uczucia i wysłuchał hymnu polskiego z szacunkiem, z odkrytemi głowami.

Spokojne znoszenie niepowodzeń, jak i powściągliwość w objawach radości świadczy o wyrobieniu nietylko jednostek, lecz i narodów.

. . . .

(st.) Dekretem p. Prezydenta Rzeczypospolitej ustanowione zostały nowe podatki celem utworzenia Funduszu Pomocy Bezrobotnym. Podatki te podnoszą ceny i tak już bardzo w kraju naszym wysokie cukru, piwa, gazu i żarówek. Szczególnie dotkliwy cios zadają wszystkim przedsiębiorstwom widowiskowym, przyczem teatry dramatyczne, traktowane dotychczas jako ogniska sztuki i kultury, zrównane zostały w sposób niespodziewanie demokratyczny z operetką, kabaretem i cyrkiem.

Dyrekcje teatrów dramatycznych, uwzględniając fatalne konjunktury, w jakich znajduje się inteligencja, obniżają ceny biletów: są one w Polsce dziś znacznie niższe, niż w całej Europie Zachodniej i Środkowej. Cóż z tego, kiedy ceny biletów, obciążone już poborami na rzecz Domu Aktora i Czerwonego Krzyża, będą znów podwyższone przez nowy podatek.

Więc w salach widowiskowych zwiększy się pustka, nastąpią nowe bankructwa. Obywatele stracą możność ostatnich godziwych rozrywek. Nie wiemy, ile zyska na tym nowym ciężarze podatkowym Fundusz Pomocy dla Bezrobotnych. Ale mniemać należy, że

rychło przybędzie nowy kontyngens bezrobotnych. Bo znany system ekonomiczny, polegający na łataniu starych dziur przez robienie większych, nowych, — takie zazwyczaj dawał wyniki.

Niezadługo jedyną rozrywką, z której będą mogli korzystać obywatele Rzeczypospolitej, będzie dłubanie w nosie. Oczywiście, również do czasu... Bo pomysłowość uzdrawiaczy niedomagań budżetowych jest nieograniczona.

. . . .

(—) B. panie i b. panowie...

Dzienniki donoszą, że w Wiedniu odbył się chrzest pierworodnego syna b. arcyksięcia Antoniego Habsburga i ks. Ileany Rumuńskiej.

Jako rodzice chrzestni asystowali: b. król Alfons XIII, b. królowa grecka Elżbieta, b. arcyksiężna Małgorzata i b. arcyksiążę Teodor, jako przedstawiciel b. cesarzowej Zyty...

. . . .

(—) „Ruch Literacki" ogłosił nieznaną dotychczas relację Bednarczyka o śmierci Mickiewicza. Boy-Żeleński na podstawie tego sprawozdania, spisanego w 1877 roku, czyli po 22 latach od zgonu Wieszcza, postawił hipotezę, że Mickiewicz został otruty „pro publico bono", „pro Christo" — przez jakiegoś, mówiąc dzisiejszym językiem, wstecznika, antysemitę, no wprost „endeka", nie chcącego dopuścić, aby wieszcz polski kompromitował się organizacją „legjonu żydowskiego".

Przypuszczenie o otruciu największego naszego poety musiało poruszyć prasę polską. Posypały się przedruki, protesty, polemiki. Zygm. Wasilewski, posiłkując się metodą hipotetyczną i komentatorską Boya, udawadnia w „Myśli Narodowej", że Mickiewicza otruli żydzi. Stanisław Szpotański z wielką erudycją rozprawia się w „Kurjerze Warszawskim" z p. Żeleńskim, przyciskając go do muru żądaniem ujawnienia, w jakiej to „wielkiej bibljotece krajowej" znajdują się i jakiego rodzaju „dokumenty", świadczące o otruciu Mickiewicza.

Poruszenie opinji publicznej jest zrozumiałe. „Odbronzawianie" naszych wielkich postaci idzie zadaleko. Pod pretekstem poszukiwań biograficznych wyciągało się i naciągało różne drobne słabostki życiowe, rzucające na znakomitych i uwielbianych ludzi ujemne światło; teraz chce się ich wciągnąć w sensację polityczno-kryminalną. Do czego ma prowadzić ta żądza ściągania świętości narodowych z piedestałów, na które naród wzniósł swych genjuszy nie za ascetyzm, ani nieskazitelność charakteru, lecz za dzieła, krzepiące go w latach niewoli i stawiające w rzędzie kulturalnych ludów świata.

Mickiewicz — stateczny czy lekkoduch, otruty czy naturalną zmarły śmiercią, — pozostanie dla nas twórcą „Pana Tadeusza", „Dziadów" i „Pielgrzymstwa", niewyczerpanem źródłem wzruszeń artystycznych i uczuć patrjotycznych, wielkim nauczycielem i wielkim przewodnikiem całych pokoleń. Wciąganie go do afer sensacyjnych musi wywołać niesmak i odrazę. Czyżby dla żądnych rozgłosu feljetonistów i facecjonistów nie było już godziwszych środków zwrócenia na siebie uwagi?

. . . .

(sk) W ostatnim numerze aktualnej zawsze i doskonale przez p. Wład. Buchnera prowadzonej „Muchy" znajdujemy wiersz następujący:

„JAK TO NAZWAĆ?

(Na tle niedoli wydawniczej prasy polskiej).

Prasa, ta siódma świata potęga,
Codziennych zdarzeń otwarta księga,
Której zadaniem po wszystkie czasy
Szerzyć oświatę, pouczać masy,
Co żyła stale przy lichej krypie,
Dziś ledwie dyszy, dziś ledwie zipie
I jeśli pójdzie, jak dotąd, dalej,
Na proch się lada chwila rozwali.

Tną w nią dwie rzeczy, jak ostry rapier:
Druk nadto drogi, kosztowny papier,
Żaden Kraj takiej ceny nie płaci,
Choć myśmy dziady, tamci magnaci.
Prócz tych powodów, jest jeszcze trzeci,
Co prasie polskiej na głowę leci,
O którym właśnie ślę wam orędzie,
A jaki powód — poniżej będzie.

W sferze Urzędów, społecznych stanów,
Tkwi cała masa megalomanów,
Którym się tłucze w myślach i w czynie,
Małe ziarenko w pustej głowinie.
Lecz że z pretensji chadzają worem,
Każdy z nich zostać chce redaktorem,
Na co grosz zwykli ciągnąć gotowy,
Z kasy społecznej, albo rządowej.

Stąd piśmiennicze różne poczwary,
Zapomogowe wydawnictw chmary,
Hocków i klocków zespolik cały,
Co go wydają Związki, Wydziały.
Kluby, Komuny, Stowarzyszenia,
Ze społecznego, rzecz prosta, mienia,
Lub dla odmiany, co fakt nie rzadki,
Z tego, co wpłaca Kraj na podatki.

To powód trzeci. Przezeń się dzieje,
Że niezależna prasa marnieje,
Bo jeśli jakiś megalomanik
Nie wie, co w piśmie dochodu zanik,
Gdy mu Skarb groszy wali dosyta,
Na druk, którego i pies nie czyta,
W tych czasach prasa, ta zwykła, musi
Chodzić bez butów, gdy kryzys dusi.

A w rezultacie zapytam ja się,
Czy w gorszym czasie, czy w lepszym [czasie,
Jak mamy nazwać taką robotę,
Tę lekkomyślną, szkodliwą psotę?
Megalomanom idąc na rękę,
Stwarza się szczerej prasie udrękę,
Na grunt bankructwa pcha się ją grząski...
Niech odpowiedzą — Komuny, Związki".

W lipcu znów takich nowych tygodników i miesięczników przybyło zgórą dwadzieścia. A prasa niezależna, utrzymująca się z własnych środków, z wycieńczenia zamiera...

Listy od naszych czytelników

MINISTERSTWO KOMUNIKACJI BEZ KOMUNIKACJI

Otrzymaliśmy następujący list:

„Dnia 24 sierpnia br. przyjechałem z Piotrkowa do Warszawy w interesach do Ministerstwa Komunikacji. W dotychczasowym gmachu Ministerstwa przy ul. Nowy Świat poinformował mnie woźny, że biura przeniesiono do byłego Min. Robót Publ. — Na skrzyżowaniu Al. Jerozolimskich i Nowego Świata stojący policjant po zajrzeniu do informatora służbowego zapewnił mnie, że Min. Rob. Publ. mieści się przy placu Małachowskiego. Po wędrówce na pl. Małachowskiego, objaśnił dozorca domu, że Ministerstwo zostało już dwa lata temu przeniesione do nowego gmachu na ul. Chałubińskiego. Zapytany inny policjant starał się na podstawie takiej samej książeczki wytłumaczyć, że jestem w błędzie, wkońcu po pertraktacjach objaśnił, że dojazd tramwajem na miejsce jest bardzo trudny i należy wziąść taksówkę.

Wątpię, by istniała rzeczywista potrzeba konspirowania miejsca urzędowania dwu wielkich i zjednoczonych obecnie resortów. Sądzę, że brak informacji polega raczej na niedopatrzeniu miejscowej komendy policji, która zbyt rzadko zmienia notatnik informacyjny dla policjantów.

Brakowi odpowiedniego połączenia tramwajowego z centrum miasta do jednego z najczęściej odwiedzanych Ministerstw dałoby się łatwo zaradzić przez wprowadzenie choćby jednej linji tramwajowej, która napewno nie byłaby deficytowa.

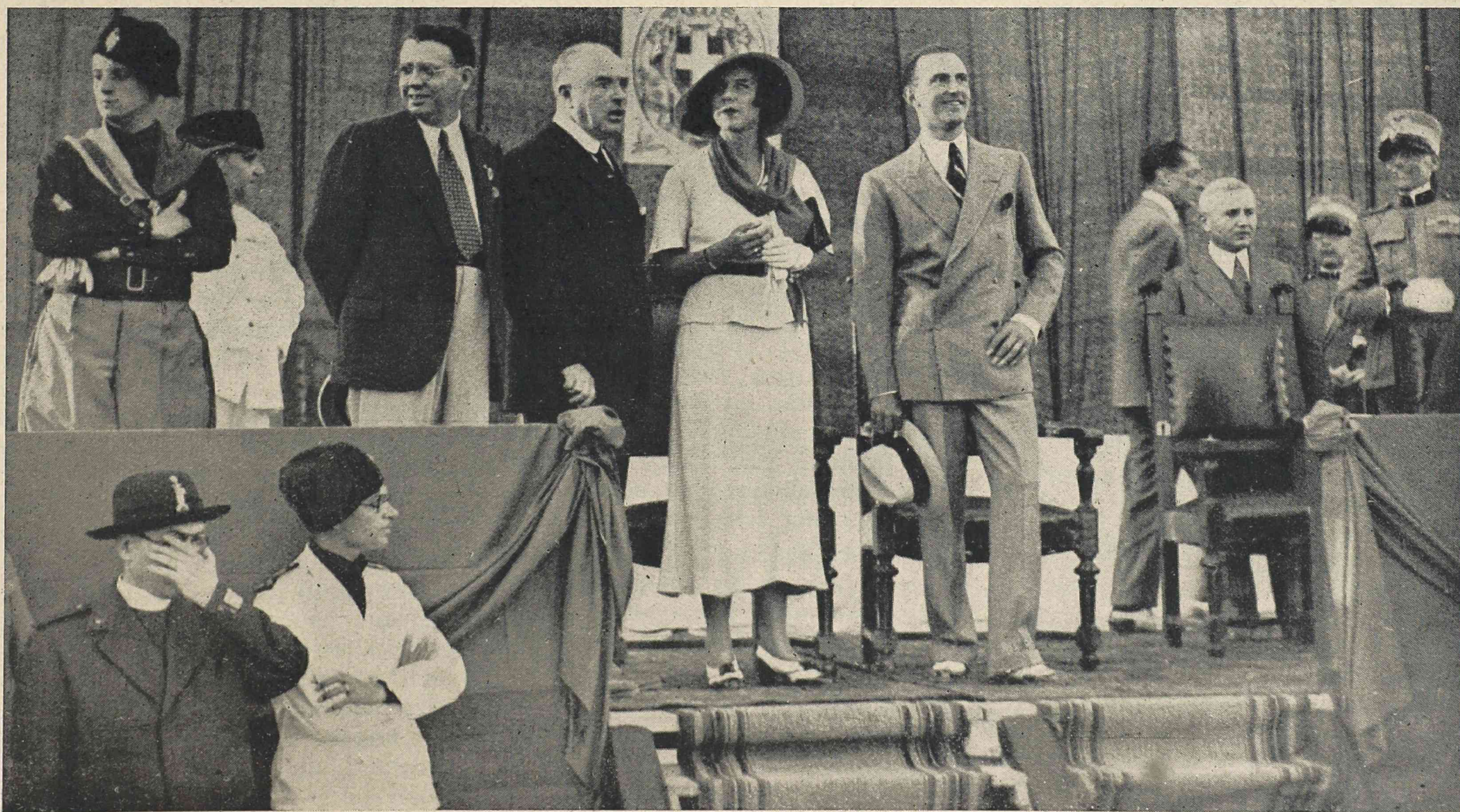
Z poważaniem
M. S."

OD ADMINISTRACJI

UPRASZAMY SZ. NASZYCH PRENUMERATORÓW O ŁASKAWE WPŁACENIE ZALEGŁEJ PRENUMERATY. PRZYPOMINAMY, ŻE CZAS ODNOWIĆ PRENUMERATĘ NA WRZESIEŃ 1932

PRZYSZLI KRÓLOWIE

Książę Walji z bratem ks. Jerzym (w słomkowych kapeluszach) na placu Św. Marka w Wenecji



Książę Piemontu z małżonką przygląda się w Pescara nad Adriatykiem korowodowi ukwieconych łodzi i barek rybackich

GUSTAW OLECHOWSKI



z kraju bobra i klonu

13)

(WRAŻENIA Z KANADY)

W MIEJSCU CUDAMI SŁYNĄCEM

Montreal jest miastem o fenomenalnem położeniu. Zajmuje wyspę na rzece św. Wawrzyńca, która nawet tu, o dwa dni żeglugi od oceanu, ma miejscami kilkanaście mil angielskich szerokości. Niemal pośrodku wyspy wznosi się małe pasemko izolowanych gór, nazwanych Mont Royal i Westmount w dwóch największych grzbietach. Otóż dokoła tych gór, na ich zboczach rozłożyło się na olbrzymich przestrzeniach miasto Montreal, liczące miljon trzysta tysięcy mieszkańców.

Turystyczny tramwaj obiega miasto wokoło pasma wzgórz, których szczyty są ogromnym parkiem, częściowo publicznym, a częściowo zabudowanym prywatnemi willami i pałacami w ogrodach, gazonach i kwietnikach.

W pewnem miejscu, na Queen Mary Road, uwagę zwraca prowadzona na zboczu góry z fantastyczną panoramą olbrzymia budowla:

— To budowa świątyni pod wezwaniem św. Józefa, Oratoire Saint Joseph — objaśnia cicerone.

Amerykanin-turysta zapytuje zaraz, co to będzie kosztowało. Informator odpowiada spokojnie:

— Czterdzieści miljonów dolarów.

— A kto funduje?

— Frère André.

— Któż to jest?

— Ubogi człowiek.

— Ale skąd ma pieniądze.

— Ludzie sypią mu, jak z worka. Około czterdziestu tysięcy przekazów i czeków otrzymuje co rok, więc buduje świątynię. Już za rok będzie gotowa. Jedna z najpiękniejszych i największych świątyń świata, obliczona na 10 tys. modlących się.

— Ale za co mu ludzie tyle pieniędzy dają?

— Spłacają w ten sposób dług wdzięczności Bogu za łaski i cuda, doznane za protekcją św. Józefa, na skutek modlitw braciszka Andrzeja. A spieszą się bardzo, bo braciszek Andrzej ma już 85 lat i może już niedługo Bóg zechce powołać go do swojej chwały.

— Aha — mówi niedowiarek. Cuda. Znamy się na tem. Niezły business.

Tramwaj staje. Można wysiąść. Jesteśmy u stóp wzgórza. Przed nami ogromna figura św. Józefa z Dzieciątkiem Jezus. Bokami wspinają się asfaltowe szosy dla tysięcy samochodów.

Aleja kwiatów prowadzi w górę. Kilka kondygnacji schodów. Po setkach stopni wloką się na klęczkach żebrzący o litość Dawcy wyroków. Eleganckie i piękne panienki, młodzi chłopcy, otyli panowie z pałaców, wspaniałe damy może z Piątej Alei w New Yorku, robotnicy, doktorzy filozofji i praw, ba, nawet doktorzy medycyny, którzy wystawiali, musieli wystawić świadectwa cudownych natychmiastowych uzdrowień raka lub elephantiasis, bezskutecznie leczonych przez nich latami.

Dochodzimy do dziwnego budynku, który jest jakby wstępem do wznoszonej świątyni. Jest to krypta, tymczasem zastępująca budowaną świątynię.

Krypta ma witraże, jest w niej pół ciemno. Piękny nastrój nas otacza. Lecz uwagę przykuwa ogromna tarcza lampek oliwnych wprost wejścia. Idziemy tam i stajemy przed stosem, olbrzymim stosem protez, kul, lasek, dewocjonalji, zawieszonych na wieczną pamiątkę. Jest ich tysiące.

Gdy wyjdziemy z krypty, zajrzyjmy jeszcze do sąsiedniego budynku, poważnej trzypiętrowej kamienicy. Na drzwiach wejściowych napis: „Office".

Cóż to za biuro?

Oczywiście biuro i to ogromne. Dziesiątki tysięcy pism nadchodzących wymagają załatwienia. Wydaje się tu miesięcznik, poświęcony czci św. Józefa i opisowi autentycznemu cudów, jakie co dnia się tu zdarzają.

O Braciszku Andrzeju istnieje już cała literatura. Mam pod ręką jedną taką książkę, napisaną przez — protestanta, George H. Ham'a, Anglika, przy współpracy innego luteranina, S. Morgan Powella, wydaną w Toronto, mieście antykatolickiem.

Są w tej książce zeznania współczesnych, żyjących i w dodatku samych sekciarzy, walczących z katolicyzmem: pani Mc Pherson, należąca do sekty „American Penticostals", pan F. L. Rawson, i — pastor kościoła Baptystów z High Park, Toronto, Albert Hughes. Deklarują oni: „Od siedmiu dni jesteśmy świadkami, jak kaleki wstają i idą, ślepi odzyskują wzrok, a niemi zaczynają mówić".

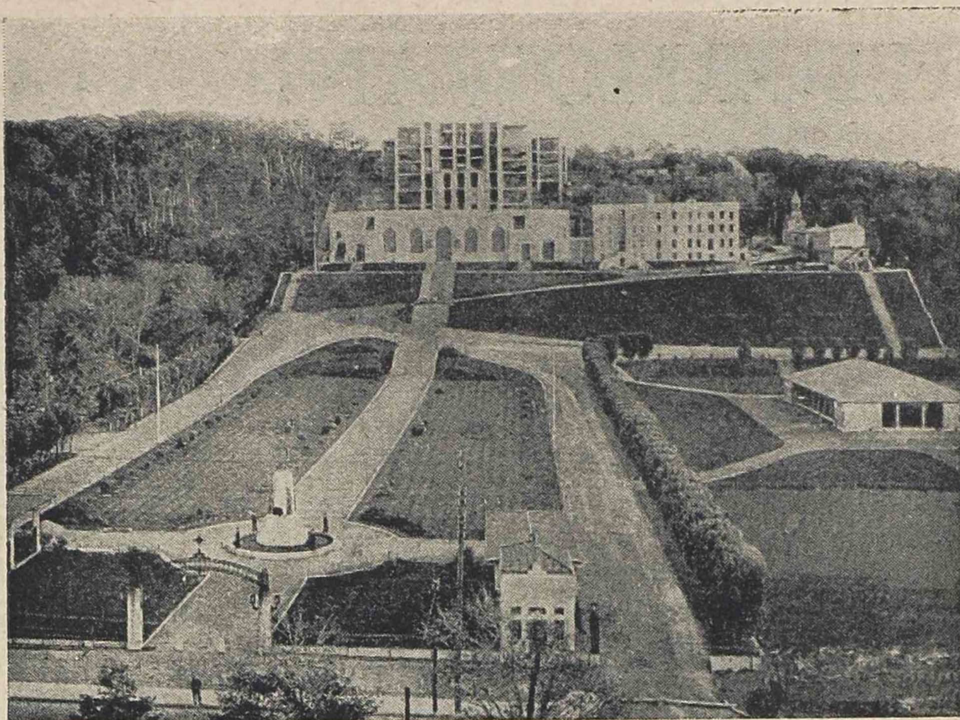
Brat Andrzej nazywa się Alfred Bessette, urodził się w 1845 roku w Kanadzie francuskiej, jest synem ubogiego rzemieślnika, dziwnym zbiegiem okoliczności, cieśli, jak św. Józef.

W dzieciństwie osierocony, przygarnięty przez krewnych, ledwo parę lat był w szkółce wiejskiej, gdy oddany został do szewca naprzód, a potem do piekarza na praktykę. Ale był tak słabej kompleksji, że nie mógł wiele pracować. Przerzucano go od rzemiosła na farmę, to znów do usług osobistych u jakiegoś proboszcza, aż gdy miał lat 23, któryś z księży zwrócił uwagę na niezwykłą jego świątobliwość i zetknął z Braćmi od Krzyża. W roku 1870 przyjęto go do kongregacji, jako „Brata Andrzeja". Dla zupełnego braku wykształcenia pełnił funkcje furtjana w kolegjum, prowadzonem przez Braci. Zakon ten wymaga, by bracia stale byli zajęci. Brat Andrzej więc, gdy brama była zamknięta, szedł do kuchni myć naczynia, a potem nauczył się strzydz włosy wychowańcom.

Całe życie śpi na pryczy, żywi się chlebem, wodą i owocami.



PIERWOTNA KAPLICZKA ŚW. JÓZEFA



BUDOWA NOWEJ OLBRZYMIEJ ŚWIĄTYNI

Jako furtjan, pełniący w kollegjum najniższe posługi, stawał się stopniowo osią życia szkoły przez niesłychany wpływ, jaki wywierał na otoczenie czynami miłosierdzia, anielskiej dobroci i ekstazą swych modłów. Cudowne skutki jego modlitwy zyskiwały coraz większy rozgłos, tak że stopniowo kolegjum stało się miejscem całych pielgrzymek, przychodziły tłumy. Sytuacja robiła się dla kollegjum trudną. Pielgrzymki przeszkadzały nauce. Municypalność uznała rzecz za niebezpieczną z punktu widzenia hygjeny publicznej.

Musiano więc wybudować specjalny budynek dla pątników.

Wierni złożyli ofiary, dostateczne dla wybudowania na wzgórzu kapliczki pod wezwaniem św. Józefa i tam ich teraz Brat Andrzej przyjmował.

W parę lat potem stanęła krypta, i oto teraz buduje się kolosalna świątynia.

Oratorjum istnieje już dziesięć lat. Annale rejestrują z największą ostrożnością cuda lub niezwykłe łaski. Przeciętna liczba ich sięga 250 miesięcznie.

Jednym z najciekawszych był taki fakt: Gdy się budowała pierwsza kaplica, położona na wysokiej górze, na którą wiodła wówczas bardzo stroma dróżyna, przychodzi pod kaplicę robotnik, który przywiózł był materjały budowlane, i powiada do brata Andrzeja:

— Ale ja na tę górę nie wjadę. Konia zostawiłem pod górą, bo ani chce ruszyć i przychodzę się spytać, co mam robić.

A Brat Andrzej na to:

— Nie rozumiem, o co ci chodzi, dobry człowieku, wszak i koń i wóz stoją za tobą.

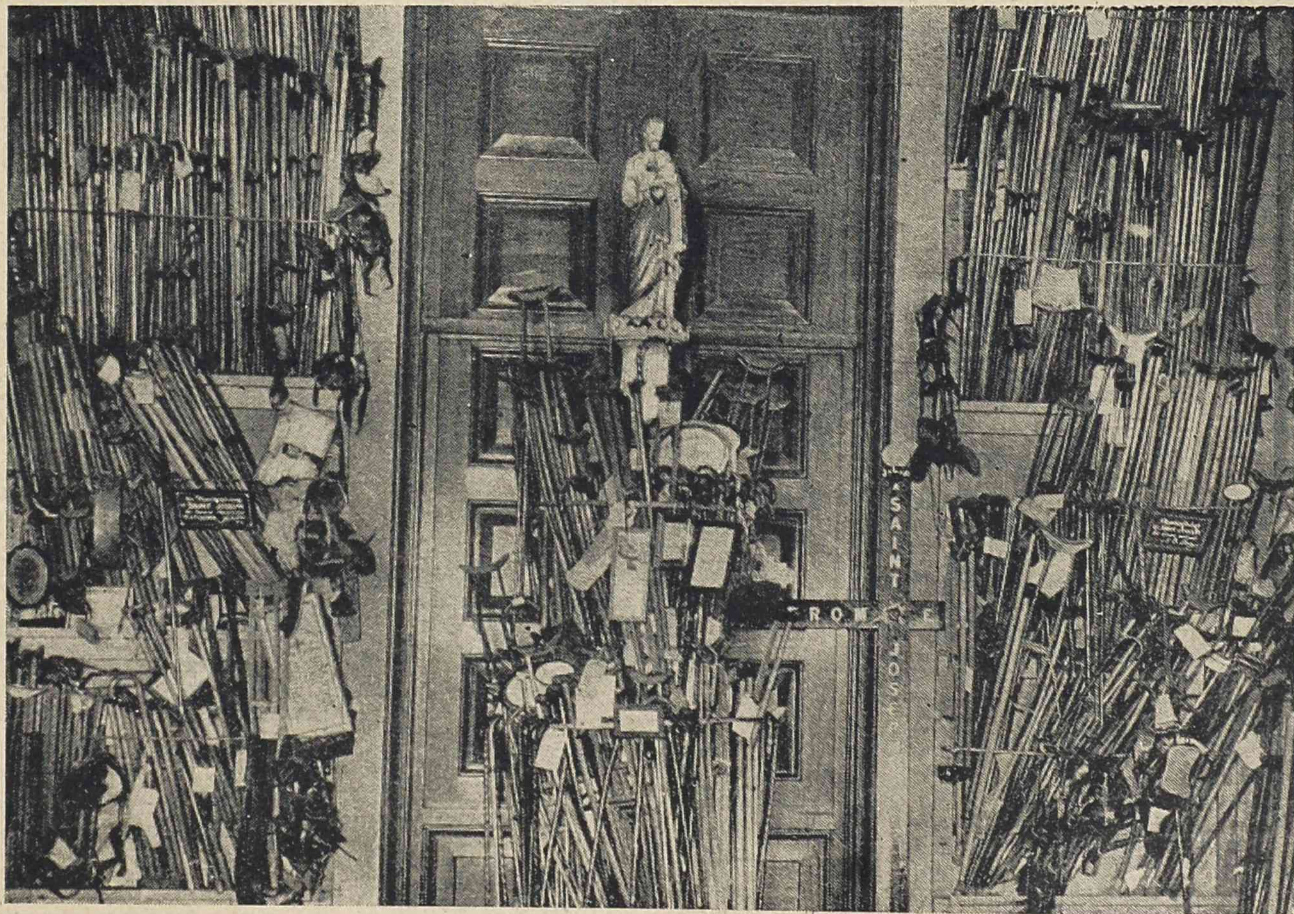
Chłopak rzucił się na kolana z krzykiem: — „Boże Wielki, toż to cud".

Władze kościelne odnoszą się niezmiernie ostrożnie, nawet sceptycznie do cudów materjalnych, jakie się tu dzieją. Natomiast ich dotychczas nie stwierdzają. Utrzymują, że stosy protez są wystarczającem stwierdzeniem, jeżeli to komu potrzebne. Przyjdzie może czas, po najdłuższem życiu Brata Andrzeja, że Kościół będzie musiał zająć zdecydowane stanowisko wobec tych zjawisk. Dziś, jak to stwierdził Arcybiskup Montrealu w kazaniu, Kościołowi wystarcza ten największy cud, jaki się tu stale dzieje, że niewierzący zaczynają wierzyć, że inowiercy udają się o modlitwę do katolickiego braciszka, że Oratorjum promienieje sławą na cały kraj.

Wymieniony współautor książki o Bracie Andrzeju, Morgan Powell, jest bardzo znanym na obu półkulach dziennikarzem amerykańskim, sceptykiem, no, i luteraninem. Siedział on godzinami całemi w przedpokoju, prowadzącym do izby Brata Andrzeja po to, by obserwować ludzi wchodzących i wychodzących.

A oto, co potem pisał między innemi:

„Widziałem dziewczynkę dziesięciu czy dwunastu lat, chorą, bladą, nerwową, prawą rękę miała sparaliżowaną, ramię wisiało nieruchomo, lewą ręką trzymała się kurczowo staruszki ubogiej, może matki, czy babki, prędzej to ostatnie. Dziecko było tak słabe, że w pewnej chwili zachwiało się przestępując schody i kobiecina musiała je chwycić, by nie upadło. Weszły do izby Brata Andrzeja, a gdy po dłuższej chwili wyszły, babina płakała rzewnemi łzami, a dziewczynka promieniała radością, bo szła o własnych siłach, ze zdumieniem machając swobodnie nieżywem przed chwilą ramieniem".



STOS PROTEZ, ZŁOŻONY PRZEZ UZDROWIONYCH

REFORMOWANIE KUCHNI

— Panie Hipolicie, żyjemy naprawdę w czasach szczególnych. To, co się dzisiaj wypisuje w gazetach...!

— Jeżeli pan mówi o zbrodniach i rabunkach, to, kochany panie Bogumile, zawsze ludzie kradli i zawsze mordowali.

— Nie tyle, proszę pana, i nie z takich powodów, panie Hipolicie. Bo jeżeli Kain zamordował Abla...

— Pierwsza zbrodnia dokonana przez człowieka po wypędzeniu ludzkości z Raju, z tej krainy nieśmiertelnej renty.

— Dlaczego Kain zabił Abla? Bo jego dym ofiarny nie szedł tak prosto do nieba, jak dym Ablowy. Zgodzi się pan ze mną, że to jest zupełnie co innego, niż zamordowanie bliźniego dla pieniędzy. Inna rzecz rywalizacja idealna, inna znowu rzecz interes materjalny.

— Pewien uczony zeszłego stulecia wyjaśnił prawdziwy motyw zbrodni kainowskiej. Żarłoczność.

— Który uczony?

— Ze szkoły darwinowskiej. Dowiódł, że bynajmniej nie chodziło o prosty czy mniej prosty dym ofiarny. Kain dlatego zamordował Abla, żeby go pożreć. Walka o byt i pierwotny sposób zaspakajania apetytu. Faktem jest, kochany panie Bogumile, że po dzień dzisiejszy istnieją plemiona, które nie rozumieją przyzwoitego menu bez jakiej takiej ochłapiny z bliźniego.

— Ale to plemiona dzikie, w krajach podzwrotnikowych, gdzie ten bliźni już za życia jest usmażony na węgiel. Zresztą, mniejsza z tem, kochany panie Hilary. Ja nie o tem. Nie o zbrodniach. Mówię, że w gazetach czyta się teraz opinje o różnych sprawach... trudno mi znaleźć określenie. Naprzykład jedno z czasopism warszawskich zapytuje różnych ekspertów w dziedzinie kobiecości, co oni właściwie myślą o „kobiecie, która idzie".

— Czytuję, owszem, czytuję. Naogół padają zdania tak zwane postępowe. Niemal wszyscy zgadzają się na jedno, że niewiele miało sensu umieszczanie uczciwości niewieściej w seksualizmie. Co ma piernik do wiatraka?

— O tym pierniku, a zwłaszcza o tym wiatraku, wiedziały wszystkie poprzednie pokolenia, panie Hilary, i zapatrywały się tak samo, jak experci, których pan przytacza. Tylko, że dawniej nie mówiło się o tem głośno i nie zamieszczano w sprawie tak oczywistej wywiadów z fachowcami. Nawet na tronach siadały kobiety lekkich obyczajów płciowych, że panu przypomnę tylko, drogi panie Hilary, głośną Kleopatrę, niemniej głośną Teodorę i najgłośniejszą, bo jeszcze prawie żywą, Katarzynę rosyjską, kochankę naszego króla Stanisława, zanim jeszcze był królem.

— Siedzieć na tronie, nie znaczy jeszcze być uczciwym, choćby się miało największą nawet ilość kochanków, szanowny panie Bogumile.

— Wiem, panie Hilary. Mówiąc o tronie, chciałem jedynie podkreślić, jak mało przeszkadza w prowadzeniu spraw najcięższych (państwo jest sprawą ciężką i odpowiedzialną), jak mało, panie Hilary, przeszkadza lekkość obyczaju. Katarzyna wybornie gospodarowała Rosją, Elżbieta Anglją...

— Ale Kleopatra straciła Egipt przez kochanka.

— Najpierw Egipt zyskała przez kochanka. Że drugi jej kochanek był głupszy, niż pierwszy, to już nie jej wina. Elżbieta ścięła kochanka, który bruździł jej w sprawach państwowych, czyli że prowadzenie interesów uważała za rzecz ważniejszą, niż osobiste radości miłosne, a to świadczy o uczciwym stosunku do obowiązków profesjonalnych. Pragnę powiedzieć, panie Hilary, z powodu wiadomej ankiety, że rozumiem i pochwalam emancypację kobiet, jej prawo do równości, do donżuanizmu, do najwyższej prezydentury w kraju, ale zarazem nie uważam tego wszystkiego za nowość. Od wieków były na świecie władczynie, amazonki, kapłanki, wielkie hetery. Aspazja cieszyła się szacunkiem najpoważniejszych obywateli greckich, pani Recamier również na terenie towarzystwa europejskiego. A jeżeli pan uważa, że Recamier jest źle dobranym przykładem, to mogę panu służyć panną Ninon de Lenclos. Hetera niewątpliwa. Sam Ludwik Czternasty liczył się z jej zdaniem, sama pani de Maintenon utrzymywała z nią stosunki, a moralność i pobożność i decorum pani de Maintenon znane były w całem państwie. Szacunek można zyskać w każdym fachu. Więc pragnę powiedzieć, że ankieta „o kobiecie, która idzie" niczem by mnie nie zadziwiła, gdyby nie jeden w niej głos, już cokolwieczek zanadto postępowy. Zgadzam się na równość, zgadzam się nawet na szacunek dla uczciwych odnajemczyń własnego ciała za umówioną opłatą, albowiem żadna praca nie hańbi, cóż dopiero mozół, połączony z tyloma przykrościami i niebezpieczeństwami; nie mogę przecież pojąć, jak można zadekretować, aby odtąd nie same kobiety *nosiły* ciężary, które dotąd nosiły same tylko kobiety. Któryś z artystów dramatycznych wystąpił z projektem podzielenia tego ciężaru kobiecego między kobiety i mężczyzn. Niech i mężczyzna nosi! — powiada ów aktor. I ja nie mam nic przeciwko temu. Owszem, niech nosi. Tylko, jak to zrobić?

— Istotnie, projekt rewolucyjny. Jak się nazywa ten aktor, w którym mieszka tak oryginalny myśliciel i tak śmiały rewolucjonista?

— Właśnie nie pamiętam. Jest to ten sam aktor, co to z krotochwili Fredry przyrządził końskie przedstawienie gdzieś nad samą Wisłą.

— Słyszałem, słyszałem. Przyprawił aktorom potworne nosy. Nazwał to zreformowaniem sceny. Tak samo sobie wyobraża i reformowanie życia. Jest najgłębiej przekonany, że można ludziom tak samo dowolnie przyprawiać płeć, jak się na scenie przyprawia nosy. Czy pan nie znajduje, że byłoby ze wszech miar wskazane, aby szanowny projektodawca rozpoczął reformę płciowości od siebie? Niechby sam zaczął nosić. Niech będzie pierwszym mężczyzną, który się czynnie sprzeciwił panującej niesprawiedliwości płciowej. Dotąd był mężem i ojcem, niech odtąd będzie żoną i matką. Dobry przykład pociąga za sobą naśladowców. Ujrzawszy szanownego artystę w stanie odmiennym, kto wie, czy ja sam na starość nie zechcę zostać matką!

— Otóż to, panie Hilary! Jeden drugiego dystansuje w głupstwie, byle zadziwić galerję snobów. Czytał pan o uczcie futurystów włoskich? Jakaś rocznica futuryzmu. Przemawiał Marinetti. Mówił, że odtąd wszystko będzie futurystyczne, że świat, panie, całą parą dąży do jeżdżenia na kwadratowem kole, a jednocześnie służba podawała futurystyczne potrawy: serdelki gotowane w czekoladzie, pomidorach i kolońskiej wodzie, etc. Oczywiście, większe powodzenie miał zwykły makaron, przyrządzony na modłę przedfuturystyczną.

— Wszystkie reformy artystyczne tyle są akurat warte, co serdelek, upitraszony w perfumach

z czekoladą. Komu się robi mdło po przedstawieniu Meyerholda, Piscatora, czy którego z naszych końskich naśladowców tych pomyleńców, tego nazywają człowiekiem nienowoczesnym, mamutem.

— Wolę być mamutem i mieć zato prawo otwarcie się zachwycać Dickensem, Meredithem, Goethem, Szekspirem, Anatolem France'em, Prusem, Kraszewskim, Rzewuskim, niż, za problematyczny tytuł człowieka nowoczesnego chodzić w pocie czoła na sztuki Claudela, zanudzać się werbalizmem tępych „reportażów scenicznych" i znosić robienie bohomazów scenicznych z dawnych dzieł świetnych przez ćwierć inteligentnych reżyserów-reformatorów.

— Podobno istnieje projekt unowocześnienia „Ogniem i mieczem" Sienkiewicza. Skrzetuski będzie nosił browning, a Helena Kurcewiczówna ucieknie z Baru na motocyklu, porwanym oficerowi kozackiemu.

Wacław Grubiński

UCZENI POLSCY POD BIEGUNEM PÓŁNOCNYM

(Specjalna relacja dla „Świata")



Domki, zajęte przez ekspedycję polską na wyspie Niedźwiedziej

Polska ekspedycja polarna przybyła na wyspę Niedźwiedzią, miejsce swego przeznaczenia, dnia 2-go sierpnia r. b., po 18 dniach podróży *). (Wyjazd z Warszawy nastąpił 15-go lipca). Trasa wiodła z Warszawy do Gdyni koleją, następnie przez Kopenhagę do Narwik na pokładzie okrętu „Polonia", dalej do Tromsö na norweskim pół pasażerskim statku „Skjaervö" i wreszcie z Tromsö na małym, 60-tonowym łamaczu lodów „Sverre".

W Tromsö ekspedycja zatrzymała się kilka dni, nietylko dlatego, że trzeba było oczekiwać na odpowiednią pogodę, ale przedewszystkiem dla zainstalowania tu jednego z atmoradjografów, oraz dla uzupełnienia zapasów.

Atmoradjograf (aparat do rejestrowania t. zw. „trzasków atmosferycznych", pomysłu dyr. Lugeon) został ustawiony w Instytucie Geofizycznym w Tromsö na prośbę przewodniczącego międzynarodowej komisji Roku Polarnego, prof. La Cour'a.

Ekspedycja nasza była w Norwegji witana z wielką serdecznością. Wszystkie formalności załatwiono zgóry, a nawet odrestaurowano na koszt Norwegji budynki na Wyspie Niedźwiedziej i zaopatrzono je w łóżka, nowe piece itd.

Wyjazd z Tromsö nastąpił dnia 31 lipca o godz. 7.30 wieczorem przy zupełnie bezwietrznej, słonecznej pogodzie. Statek „Sverre" żaglomotorowy posuwać się mógł tylko przy pomocy motoru, robiąc zaledwie 6,5 węzłów. Dopiero po dwuch dniach przybito do brzegów Björnöya. Podróż ta w dzienniku podróży opisana jest w sposób następujący:

„Pogoda słoneczna, ciepło. Po południu temperatura zaczęła spadać, a na niebie ukazały się chmury; o godz. 6-ej wieczorem na horyzoncie ukazały się zarysy gór, spowitych w mgły. O 10-ej widać już wyraźnie skaliste brzegi wyspy, pionowo opadające w morze. W rozpadlinach śnieg. Wierzchołki gór ukryte w niskich chmurach. Temperatura wody 2,8°, powietrza 3,6°.

Wyspa Niedźwiedzia wygląda ponuro, tembardziej, że niskie chmury okrywają ją cieniem, podczas gdy statek, płynący równolegle do jej brzegów, oświetlony jest promieniami słońca.

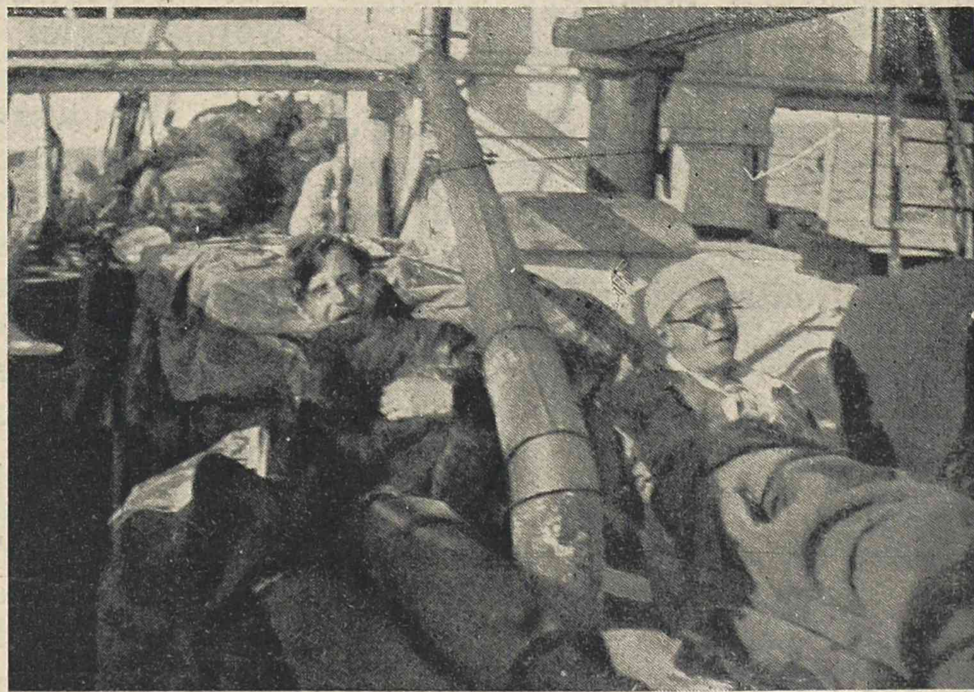
Okręt objeżdża wyspę od strony wschodniej i wchodzi do zatoki, gdzie zbudowany jest dźwig do wyładowywania okrętów i dwa niewielkie pomosty drewniane, zastępujące molo.

Pomimo braku wiatru i fal, przy brzegach wyspy woda, pędzona dość silnym prądem arktycznym, pieni się i rozbija tak mocno, że kapitan „Sverre" nie decyduje się na zbliżenie do pomostu. Mogłoby to

*) Patrz „Świat" № 31 z dn. 30.VII.1932.



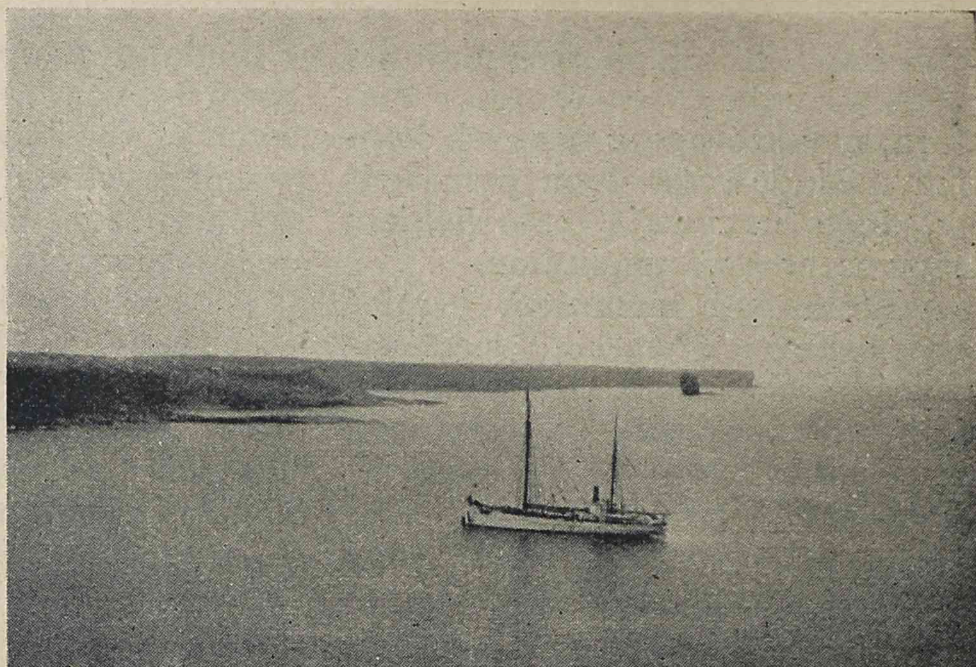
Podczas ładowania bagażów w porcie Tromsö puszczono płytę z polskiemi pieśniami



Dyrektor Lugeon i p. St. Siedlecki dosypiają na pokładzie „Sverre" po niewygodnej nocy w kajucie



Najwyższy szczyt wyspy Niedźwiedziej — Mons Miseris, nazwany przez ekspedycję polską Mizerakiem. Na pierwszym planie pola maliniaków



Widok z wyspy Niedźwiedziej na zatokę i łamacz lodów „Sverre", którym przyjechała naukowa ekspedycja polska

grozić rozbiciem o skały nawet tak mocnemu stateczkowi, jak „Sverre", który ma kadłub zaopatrzony stalowemi sztangami.

„Sverre" staje więc na kotwicy; spuszcza łódź, którą będzie się wozić cały bagaż. Najpierw jadą nią uczestnicy ekspedycji. Po kilkuminutowem krążeniu koło brzegu udaje się znaleźć względnie spokojne miejsce i ekspedycja wysiada na ląd.

Na płaskiej i stosunkowo niższej części wyspy widać dwa niewielkie maszty radjostacji. W miarę zbliżania się przez lornetki widać domki drewniane. Coraz więcej domów! Zdumienie ogarnia naszych podróżników. Ależ to jest całe osiedle na paręset osób! I to ma być owa niezamieszkała wyspa Niedźwiedzia? Widać nietylko domy-baraki, stojące wzdłuż ulic, ale także słupy sieci elektrycznej, szyny kolejki wązkotorowej, lampy elektryczne na ulicach... Jedno jest zastanawiające, że pomimo nieustannego huczenia syreny okrętowej nie widać żywego ducha. A przecież każde przybycie okrętu ze świata powinno tu być sensacją.

Jest godzina 3-cia rano, ekspedycja wchodzi pomiędzy zabudowania dziwnego miasteczka. Teraz dopiero poznaje, że jest to ruina, osiedle opuszczone. Domy mają powybijane szyby, drzwi powyrywane z zawiasów. Pośrodku kolonji obszerniejsza szopa, będąca niegdyś elektrownią. Na drewnianym pomoście stoi jeszcze silnik, gruntownie zardzewiały. Linja elektryczna dawno znikła, porwana wichrami. Zostały tylko słupy z pustemi izolatorami. Na torze wąskotorowej kolejki stoją puste wagoniki-wywrotki. Krajobraz beznadziejnie smutny.

Ekspedycja mija ponure osiedle, zbliżając się do budynku radjostacji. Dopiero teraz ukazuje się żywa istota. Człowiek-widmo. Cera kredowo-biała, oczy głęboko wpadnięte i płonące gorączkowym blaskiem. Jest to kierownik tutejszej radjostacji. Przed chwilą położył się spać i dopiero teraz zbudziła go syrena okrętu. Pomimo długiego pobytu na wyspie, sypia w lecie mało, dopiero po ostatecznem znużeniu. Brak ciemności nocnych nie pozwala na regularne sypianie w określonych godzinach.

Zaprasza ekspedycję do mieszkania. Przedstawia swoją żonę i małe dziecko. Prócz nich na wyspie mieszka jeszcze brat radjotechnika i jego pomocnik. Mają psa i konia. Nawiasem mówiąc, koń ten jest niezwykłym w swoim rodzaju okazem, gdyż żywi się rybami.

Na wyspie nie rośnie ani jedno źdźbło trawy.

Wyjaśnia się tajemnica dziwnej osady.

Okazuje się, że w czasie wojny, kiedy w państwach neutralnych wzrosło niebywałe zapotrzebowanie węgla, zawiązało się towarzystwo akcyjne dla eksploatowania pokładów węgla na wyspie. Zbudowano całe osiedle i zaczęto kopać. Pracowało tu tysiąc ludzi. Po wojnie węgiel, dość marny, nie wytrzymywał konkurencji zagranicznego, więc wszystko porzucono. Nie opłaci się nic zabierać z powrotem.

Robi to niezwykle przygnębiające wrażenie, silniejsze jeszcze od groźnej, ponurej przyrody. Przypomina jakieś żywiołowe katastrofy, miasta odkopane z pod wulkanicznego popiołu, czy raczej wydobyte z pod lodowca.

Pomiędzy domami leżą dwa wielkie zwierzęce szkielety z niezupełnie zgniłem mięsem. Są to pozostałości dwuch niedźwiedzi, zastrzelonych w zeszłym roku, których nie zdołały dotychczas rozszarpać ptaki. Od czasu do czasu odwiedza je koń telegrafistów, gdy mu się sprzykrzy wyłącznie rybna djeta. Groteskowo-ponury jest widok tego konia, obgryzającego kości niedźwiedzia.

Po przespaniu się w przeznaczonym dla ekspedycji domu, położonym opodal opuszczonego osiedla, zawrzała na wyspie praca. Wszyscy uczestnicy ekspedycji jęli się wyładowywania bagaży i urządzania domu mieszkalnego i stacji obserwacyjnej. Gorliwie pomagała w tem załoga „Sverre", telegrafiści, oraz dwaj młodzi Anglicy, pp. Dawid Lack i L. Bertram, studenci z Oxford, którzy dla badań zoologicznych bawili trzy miesiące na wyspie, opuszczając ją na pokładzie tego samego okrętu, który przywiózł naszą ekspedycję.

W ciągu 24 godzin cały bagaż ekspedycji (80 skrzyń i 8 tonn koksu w workach) został wyładowany i umieszczony w magazynie. Żona kierownika radjostacji postarała się, aby mieszkanie ekspedycji było przytulne i miłe. Ofiarowała więc swe fotele trzcinowe, kanapę i nawet założyła w oknach firanki.

Zapalono w piecach i puszczono w ruch gramofon. Nastrój wyraźnie poprawił się po pierwszem przygnębiającem wrażeniu z zamarłego osiedla.

W dniu odjazdu „Sverre" ekspedycja wydała pożegnalną ucztę, na której byli obecni wszyscy mieszkańcy wyspy i okrętu (z wyjątkiem mięsożernego konia). Uczta, obficie zakrapiana naszą ojczystą „Wyborową", przeszła w serdecznym nastroju, wśród niezliczonych przemówień, i zakończyła się muzyką z gramofonu ekspedycji. Puszczono najpierw narodowy hymn norweski: „Ja wie Elsken", a potem „Jeszcze Polska nie zginęła", który wszyscy chórem śpiewali, nie wyłączając Anglików i Norwegów.

J. h-ski

Uroczystość węgierska w Warszawie



PO NABOŻEŃSTWIE W DNIU ŚW. STEFANA, KRÓLA I PATRONA WĘGIER, WARSZAWSKA KOLONJA WĘGIERSKA Z CHARGÉ D'AFFAIRES BARONEM MISCKE, KS. REKTOREM TRZECIAKIEM I P. ILENĄ BARDY BRIESEMEISTER, KRZEWICIELKĄ PIEŚNI MADZIARSKICH, POŚRODKU

BORISAV STANKOWIĆ

NOCĄ

Cveta siedziała na zagonie i oczekiwała Jovana, żeby doprowadził wodę, aby nawodnić tytoń, który jeszcze w zeszłym tygodniu zasadzili, a w żaden sposób dotąd nie mogli podlać. Usiadła, skurczyła się, wsparła brodę o skulone kolana i patrzyła sennym wzrokiem w ciepłą, ciemną noc. Wszędy wokół niej, na polu widać było ludzi, jak na zasadzonych zagonach pracują przy świetle latarń. Od czasu do czasu słychać było tępy, metaliczny dźwięk motyki, chrapliwe głosy pracujących i ich nawoływania, ale wszystko to naraz przygłuszał ciepły jeszcze wietrzyk, który szemrał nad równiną.

Cveta była śmiertelnie zmęczona, ale opanowywała się przemocą, by nie zasnąć. Naraz usłyszała odgłos kroków, które się do niej zbliżały, a potem rozróżniła głos swego męża:

— O, widzisz! — mówił do kogoś. — Patrz, bracie mój: cały rok susza, ani kapki wody nie spadnie... Patrz, jak powiędło, aż grzeszne myśli przychodzą, gdy człek popatrzy... Toć na dziesięć sadzonek żeby się jedna przyjęła. Nieszczęście, powiadam ci!...

— Prawda, prawda! — odpowiadał tamten drugi.

— Boże, znowu on?! — targnęła się Cveta, gdy usłyszała ów drugi, bardziej kobiecy, niż męski głos. Poczem podniosła się prędko i, jakby uciekając, weszła na zagon, wzięła motykę i poczęła kopać. Wtem nadszedł Jovan.

— Pracujesz? — odezwał się. Zdjął motykę z ramienia, wbił w ziemię, postawił latarnię i siadł na miedzy. — Chodź gazdo Stojanie, — zwrócił się do człowieka, który szedł z nim. — Siądź krzynę.

— Zaraz, zaraz! — Ukazała się wysoka postać, również z motyką i latarnią.

— Dobry wieczór! Pracujecie? — spytał cicho i jakoś bojaźliwie.

Cveta nie odpowiedziała na pozdrowienie, nibyto pracą zajęta, nie słyszała.

— A mordujemy się, gazdo, jak każda biedota, — odpowiedział Jovan i posunął się, robiąc mu miejsce obok siebie. — Odpocznij. Chcesz tytoniu?

— A daj! — I oglądając się, siadł powoli, skrzyżował nogi i począł zwijać i palić papierosa, ale niezgrabnie i prędko. Tymczasem Jovan skarżył się na złe lata, ciężkie czasy, na gminę, młynarzy i na wszystko, co mu przeszkadzało, że nie mógł dostać wody. Stojan go słuchał, kiwał głową potakująco, palił, odpowiadając rzadko i krótko. I kto wie, jak długoby to trwało, gdy naraz Jovan podskoczył, nachylił się nad ziemią i nasłuchiwał; posłyszał, że woda nadchodzi zdaleka, posłyszał ów jej cichy szmer, rzucił więc papierosa, złapał ponownie motykę i bez latarni pobiegł w tamtąd stronę.

— Cveto, rób te rzędy, — krzyknął żonie, która ciągle kopała niedaleko. — A ty, gazdo, czekaj, zaraz wrócę... Hejha! — wyciągnął wesoło i zgubił się w ciemności nocy.

Stojan jakgdyby się przeląkł jego nagłego odejścia, gdyż podniósł się prędko i poszedł za nim, ale wrócił, siadł i począł skubać suchą trawę, słuchając uderzeń motyki Cvety. Naraz przyłożył do ust rękę zwiniętą w trąbkę i zawołał cicho w stronę Cvety:

— Cveto!

Lecz od niej nie usłyszał odpowiedzi, tylko dalsze uderzenia motyki.

— Cveto! — zawołał głośniej.

Ona znowu milczy.

— Cveto, słyszysz? — i nachylił się, wytężył słuch i oczy, ale spostrzegł tylko, jak się zgarbiła i uderza mocno motyką, z której czasem, gdy natrafi na kamień, odskakuje iskra. — Cveto, chodź, albo... — i chciał się podnieść, gdy zobaczył niespodzianie, że przyszła i nachyliła się nad nim.

— Czegoś przyszedł? — spytała go przytłumionym głosem.

— Ja?! — zaciął się i zaląkł. — Szedłem na zagon i twój mąż mnie spotkał, i — przyszliśmy! A ty się gniewasz?

— Żebyś mi zaraz poszedł! — odwróciła się gniewnie od niego.

— Gniewasz się?

— Nie gniewam się, — poczęła łykać jakby łzy. — Nie gniewam się, ale co powie świat, ludzie! Idź, jeśli dobrze myślisz. Czego ty chcesz? Przeciem ja wydana!

— Prawda, — odpowiedział miękko.

— Kiedy prawda, poco przychodzisz? Dlaczego mnie nie zostawisz w spokoju?... Masz przecie żonę, dzieci.

— Ech, — machnął ręką, — nie wspominaj.

— Tak, ty masz, a ja? A jeszcze i to, niech on co posłyszy, to co mnie wtedy, co?

— Daj spokój, Cveto, — zawołał, gdy

poczuł, że głos jej zadrżał do płaczu. — Idę, toć idę zaraz, już. Prawda to, co mówisz, ale ja... Ty mię znasz. Ja tylko tak... przyszedłem, żeby cię zobaczyć. A ty, no, jeśli już tak chcesz, więcej nie przyjdę, nie przyjdę... z Bogiem!

Nie podała mu ręki, by się pożegnać, odsunęła się i rzekła ostro:

— Z Bogiem! Idź!

— Ech, ty się gniewasz! — stwierdził i, przerzuciwszy motykę przez ramię, odszedł.

Gdy znikł, ona szybko, przemocą i jakby broniąc się przed czemś, odwróciła się i wzięła motykę, by dalej kopać, szepcąc do siebie:

— Cygani on, cygani. Przyjdzie znowu. — Dlaczego jej już raz nie zostawi w spokoju? A powiedzieć mężowi nie śmie. Bo krewby pociekła... A tu znowu z nim się widuje, rozmawia, on przychodzi do niej i mąż nie wie, dlaczego to wszystko... Gdzie się znajdzie jej dusza i ciało na tamtym świecie?... Grzeszne to, grzeszne... Matko Bogarodzicielko!

I poczęła się żegnać, szeptać modlitwy. Ale ciepła noc, tępy i metaliczny dźwięk motyki, miganie ludzkich cieni z ciemnemi latarniami... jeszcze więcej ją wzruszyły, napełniły strachem i słodkiem wspomnieniem. Pamięć, naprzekór woli, żegnaniu i modlitwom, poczęła jasno przypominać wszystko, co niegdyś było:

...Była dzieckiem, gdy ją ubodzy rodzice dali do rodziców Stojana, by u nich służyła i by ją później dobrze wydali za mąż. Ojciec Stojana był prędki i surowy. Po jego nachmurzonem i kosmatem licu widać było, że nikt od niego nie usłyszał dobrego i delikatnego słowa. Z żoną i ze Stojanem, który był jedynakiem, postępował tak, jak i ze służbą. Wszyscy się go bali i stronili od niego. I gdyby nie matka Stojana, kobieta litościwego serca, możeby i Cvetę spotkał los jej towarzyszek, służących u takich bogatych gospodarzy. Zostają albo zahukane przez resztę służby, a czasem i przez samych gazdów, albo zamordowane nadmierną pracą. Ale matka Stojana poczęła na nią uważać, bo Stojan, jako dziecko, najchętniej z nią się bawił. I dlatego zasłaniała ją przed czeladzią, nie dawała jej ciężkiej roboty, więc też dziewczyna rozwinęła się i wypiękniała. Uroda jej, jędrność zachwycały każdego, a najwięcej Stojana, który później, gdy wyrósł, prawie nigdy nie rozstawał się z nią. Zawsze byli razem, na zagonie, na polu, jedno przy drugiem. On nigdy nie dawał odczuć, że jest u nich tylko służącą. Ciągle ją czemś obdarzał, dawał jej — kryjąc się przed ojcem — zboża, mąki i innych różności, by zaniosła swoim rodzicom. Był łagodny, spokojny, cichy i pracowity, jak nikt. Ach, te czasy!

Poszli na zagon filizować*) tytoń.

Łodygi sięgały im do pasa, pod bosemi nogami kruszy się sucha ziemia, a wokół nich, wszędy, jak okiem sięgnąć, bujna zieloność. Świeże, czyste i jasne powietrze grzeje, więc krew uderza im do twarzy. Pracują, obrywają młode pędy. Od rzeki wieje wiaterek, a od zżętych pól, od ściernisk, dochodzi pieśń turkawki... Pracują na wyścigi, trącają jedno drugie, a potem przekomarzają się i niby zagniewani, odsuwają.

— Cveto! — odzywa się wkońcu. — Chodź, zaśpiewamy.

— Nie chcę.

— A jak cię poproszę? — pyta swobodniej i przystępuje ku niej.

— Ah, poco mnie złościsz? — śmieje się serdecznie i podchodzi. — No, zaczynaj!

Zaśpiewali pieśń, którą wówczas najchętniej śpiewano. Głosy ich są czyste i drżą z radości.

— Cveto! — woła Stojan i odsuwa się od niej, żeby ją lepiej widzieć.

— A co? — zapytuje figlarnie.

— Tyś moja!

Ona szybko się schyla, by ukryć radość i rumieniec, co oblał policzki.

— Daj spokój, Stojanie! Do roboty!

— Nie, nie... — szepce on. I z tyłu, popod pazuchę, chwyta ją i ściska... Ona się odsuwa, wywija, broni, ale tak lekko, leciutko, że mu się tem więcej poddaje i przytula do niego.

— Toć dosyć... Och, jakiś ty?!... — Osłabiona, omdlała, szczęśliwa, podaje raz lewy, raz prawy policzek, by je całował naprzemian...

Ale jednej jesieni wieczorem powiedziano jej, by się pięknie ubrała. Poczem wyszedł ojciec Stojana, wziął ją za rękę i wprowadził do gościnnej izby.

— Całuj rękę! — rzekł i wskazał na ludzi, którzy byli.

Zachwiała się, z przerażeniem spojrzała na niego i byłaby padła, ale jego ostre spojrzenie i surowy wyraz twarzy przywróciły jej siłę. Ledwo idąc, pocałowała wszystkich w rękę. Obdarowali ją, a nawet i ojciec Stojana, ku zdumieniu wszystkich, pocałował ją w czoło i wyciągnął wielki dukat.

— Niech ci przyniesie szczęście, córko, a długowieczne. W moim domu jadłaś drewnianą łyżką, a w swoim, oby Bóg dał, będziesz jeść srebrną.

I wyprowadzili ją. Całą noc nie wiedziała nic o sobie. Od tego dnia do czasu wesela zupełnie nie widziała Stojana. I wydała się. Wyszła za tego Jovana, człowieka wprawdzie niebiednego, ale wdowca, twardego i porywczego... Serce jej chciało pęknąć, lecz silna natura i ciągła ciężka, codzienna praca zwyciężyły. Stłumiła wszystko, co było. Ale oto teraz, od jakiegoś czasu, on znowu, ten sam Stojan, czyha na sposobność, by się przy niej znaleźć, zobaczyć i porozmawiać. A ona nie może patrzeć na niego, ani słyszeć tego jego miękkiego, raczej kobiecego głosu. I on nie uszczęśliwił się. Ożenili go z bogatą dziewuchą. Ale od tego czasu nie zagrzeje miejsca w domu. Na żonę nie popatrzy, ciągle, niby za robotą, lata do wsi, do dzierżawców, gdzie są ich zagony i pozostaje tam całemi tygodniami. Czego nie robili, żeby obudzić w nim miłość dla żony, nic nie pomogło. Kropili go wodą, zdaje się z bieluniem, dawali mu zioła, wodzili po monasterach i wróżkach, ale on nijak nie stawał się rozmowniejszym, żywszym i lepszym. Wiecznie tylko milczy, pracuje, pozwala matce robić ze sobą, co tylko chce. Z nikim się nawet nie sprzecza. Ojciec, zdawało się, że się wściekni. Razu jednego stłukł go na kwaśne jabłko i wyrzucił. Odtąd nikt nie śmiał nawet wspomnieć jego imienia w domu. Matka biedaczka, mało jej serce nie pękło z bólu i wstydu. Prosiła go, zaklinała, żeby powiedział przynajmniej jej, jeśli nie chce ojcu ani komu innemu, dlaczego ucieka z domu i od żony, ale daremnie... I kto wie, dokądby to trwało, gdyby rodzina jego żony, widząc to wszystko, nie poczęła żądać, by dziewczyna, aczkolwiek wydana, wróciła zpowrotem do domu. Bo, powiadają, nie dali jej dla starego i dla jego domu, ale Stojanowi... Wtedy wezwał go ojciec do siebie, nie wiedząc już co począć.

— Siadaj! — rzekł mu gniewnie i wskazał miejsce obok siebie na minderluku.

— Niechta, — odpowiada, — mogę postać.

— Siadaj przy mnie, siadaj, jak przystoi chłopu, gospodarzowi! — i słowo „gospodarz" zaakcentował. Stojan pokornie milczał i nie siadł.

— Siadaj i mów! — wybuchnął nagle starzec i skoczył ze swego miejsca. — Czyś oniemiał, do Pana Boga! Mów, chcę słyszeć, widzieć: czy potrafisz, czy umiesz mówić, chcę słyszeć twój głos... Niech wiem, czyś żywy?!

— Co ci mam mówić? — szepnął Stojan i gotów na wszystko, wzruszył ramionami.

— Co? Co???... — porwał się starzec rozwścieczony, i mnąc gunię w ręce, począł zawzięcie nad nim skakać. — Jeszcze pytasz? Zabiję cię, zabiję, taki synu! — I podniósł pięść. — Tegom doczekał, żeby mi synową zpowrotem zabierali?... — Opowiadaj, mów! — Chwycił go wściekle za piersi i począł szarpać, dławić. — Mów... Zabiję cię, zabiję cię! Żebym przynajmniej nie musiał patrzeć na ciebie!...

— Zabij!

Starzec odskoczył.

— Zabić cię, powiadasz? A zabiję, żebyś wiedział. — I począł się kręcić po izbie, jakby szukał, czemby go zabić. Stojan milczy, spuścił głowę i czeka... — Zabiję cię, teraz cię już zabiję! — mówi starzec. Lecz naraz krzyknął: — Nie, synku! Nie, proszę cię!... Oto cię pro-

---

*) filizować = obrywać pędy na łodygach tytoniu (przyp. autora).

szę! — I drżąc, pochylił się przed Stojanem, zdjął czapkę, a białe włosy rozsypały mu się po szyi i ramionach. — Na, masz, zabij ty mnie... ty mnie zabij! — Łkał starzec, a ręce jego, plecy, głowa, całe ciało mu drżało.

Stojan, na wszystko przygotowany, tylko nie na to, — nie na prośby ojca, słaniał się:

— Nie...! — i schylił się, by go podnieść, wyprostować; ale gdy zobaczył wielkie, gorące łzy, kapiące z oczu starca i padające mu na ręce, cofnął się, przeraził i uciekł z izby.

Od tego dnia poprawił się Stojan na kilka miesięcy, pogodził z żoną i począł żyć, jak inni żonaci. Siedział w domu, doglądał pracy i chodził czasem z żoną i matką po krewnych i po jarmarkach... Wszyscy się tem uradowali. Ale oto, odkąd nastało lato — coś mu się stało. — Począł na nowo, jak przedtem, chodzić po polach, po wsi i tam pozostawać dłużej i — co najważniejsze i najstraszniejsze dla Cvety — począł zachodzić do niej. Prawda, że zjawiał się zawsze z jej mężem, jednak ona czuła, dlaczego przychodzi. Wystarczy, żeby go tylko zobaczyła, jak się zbliża ku niej, a oczu nie spuszcza, jeno mruży, a koło ust igra mu jakiś bolesny, zwiędły uśmiech — jej się serce ściska, ciało drży i łzy się cisną do oczu... Ale musi się opanowywać, przemocą robi się ostrą i opryskliwą, bo któż wie, coby było, gdyby tak nie postępowała? Ale wszystko daremnie. Prawda-ć, że zawsze, ile razy przyjdzie do niej, zaklina się, że więcej już nie przyjdzie, a jednak znowu, znowu!...

— Boże mój, Boże!... Panie Boże, mój! — szeptała drżąc ze strachu i kryjąc oczy przed światłem. — Oświeć mię, słodki Boże!... Och, grzeszna ja i nieszczęśliwa! — Żegnała się, biła pokłony, a księżyc świecił i oblewał światłem wszystko. A wraz ze światłem jakby i życie się ruszyło. Ze wszystkich stron słychać gwar, nawoływanie i śpiew nocą pracujących ludzi. Cveta żegnała się, drżała, słuchała, jak w dali szemrze rzeka, szeleszczą liście, jak spętane konie się pasą, uderzają motyki... Słuchała, drżała, a nie mogła pracować. Myśl o Stojanie opanowała jej mózg i napełniła ją całą smutkiem i strachem. Stała jak wkopana w ziemię, oparta o motykę i nie widziała nic, nawet wody, która doszła i szemrając, szeleszcząc, wpadając w suche, spragnione rzędy, ciekła w drugi, sąsiedni zagon...

I naraz wśród tej lśniącej światłości i nocy jeden jasny i tęskny głos podniósł się, zadrżał i rozległ się na wszystkie strony.

— U-u-uch! — wstrząsnęła się i pochyliła twarzą ku ziemi.

— Hej, Stojanie! Słuchaj, Stojan śpiewa! — jakby odpowiedź na jego pieśń odezwały się zewsząd zachwycone okrzyki.

— Och, dosyć, dosyć!... — jakby sobie i jemu poczęła bezświadomie szeptać Cveta, leżąc skurczona, zgarbiona, ściskając piersi i dławiąc się od łez i wezbranych uczuć. I nie mogąc zdzierżeć dłużej, wściekle, zajadle całowała i gryzła mięśnie na ręce, wpychając w usta pięść, jakby powstrzymać chciała przemocą to, co się wyrywało z niej i opanowywało ją całą...

Tymczasem pieśń rozlegała się ciągle dalej. Stojan śpiewał tak tęsknie, jak nigdy dotąd.

— Żal!... — westchnęła głęboko Cveta. I złamana, pokonana, podniosła głowę, spojrzała w stronę, skąd dochodził głos, jakby chciała ten ostatni akord, który już zanikał, wpić w siebie.

— Woda doszła, a ty?! — wstrząsnął nad nią głos męża. W tej chwili przybiegł Jovan, uradowany, że z trudem doprowadził wodę. Ale gdy spostrzegł, że ona nie uważała i nie otwarła brózd, by woda mogła w nie wejść i nasycić je, że wszystko tak zostawiła i woda odeszła na bok, w sąsiedni zagon, opanowała go wściekłość, podniósł motykę i trzęsąc się z gniewu, skoczył na nią.

— Co to jest, a-a-a? — zasyczał.

— Jovanie! — poczęła jąkać, bo dopiero teraz spostrzegła, że zupełnie zapomniała o wodzie. I czując się winną, oczekując uderzenia, zasłoniła tylko głowę i z trudem starała się wstać. — Przebacz, chora jestem!

— A co ci to?

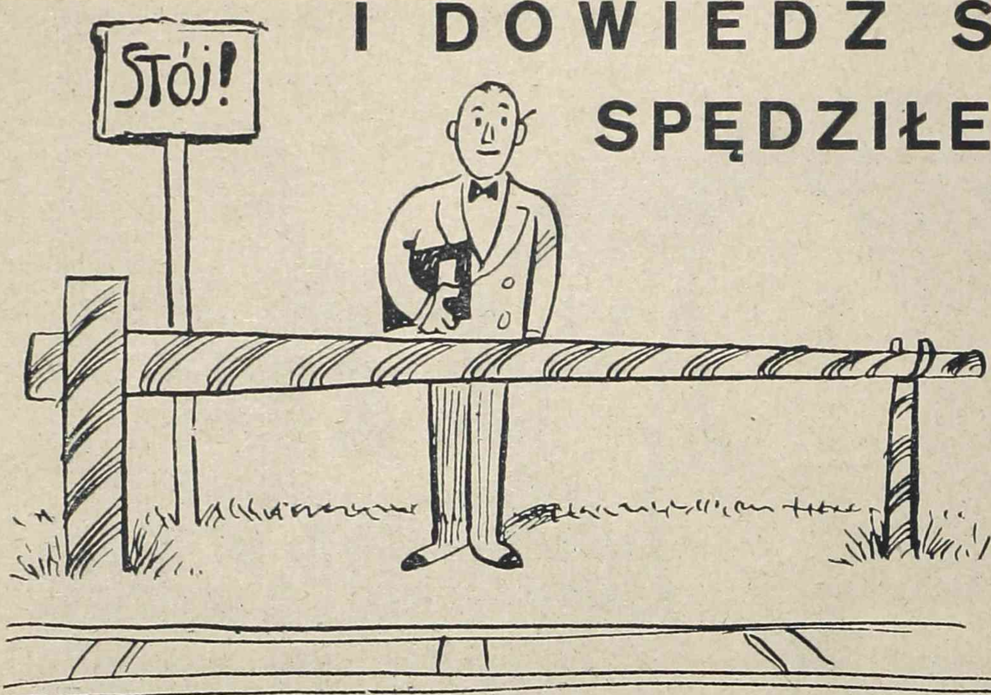
— Och, ty nie wiesz! — uderzyła w jęk i wielki płacz. — Nie wiesz!

Jovanowi wydało się to jakby wyrzutem, że on, chociaż widzi, że jest w odmiennym stanie, pędzi ją nocą do pracy.

— No, no, nie płacz ino! Dlaczego nie powiesz, żebym cię zostawił w domu. Czekaj! — rzekł miękko i schylił się, wziął ją na ręce, odniósł do miedzy, położył, zdjął z siebie gunię i nakrył, by nie zziębła, poczem prędko pobiegł i nawrócił wodę...

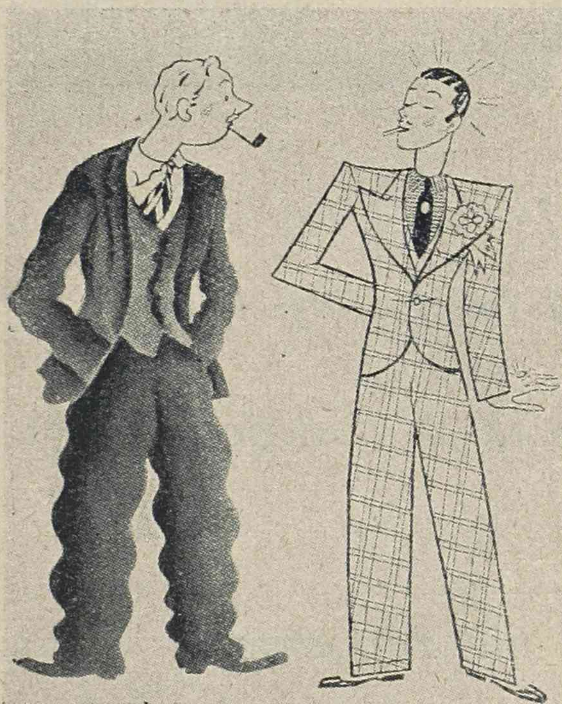
Z serbsko-chorwackiego
tłómaczył *W. Bazielich*

I DOWIEDZ SIĘ, JAK SPĘDZIŁEM URLOP



A NIECH CI TO BĘDZIE NAUKĄ NA PRZYSZŁOŚĆ!

Człowiek samotny, jadący na urlop, musi błyszczeć. Szyk i elegancja! Odróżni cię to pochlebnie od tłumu zwykłych urzędników i wprawi w świetny nastrój. A samopoczucie — to grunt!



Wybadawszy dokładnie kolegów, dokąd jadą na urlop, jedź w odwrotnym kierunku. Niech nie przeszkadzają. W dniu wyjazdu musisz zapomnieć, kim i czem (biedaku!) byłeś w biurze. Szarego urzędnika pozostaw razem z czarnemi „rękawkami" przy biurku. Na urlop jedzie inny człowiek — ten właściwy.

Weź smocking, świeżo nicowane garnitury i koniecznie wielki kufer-szafę.

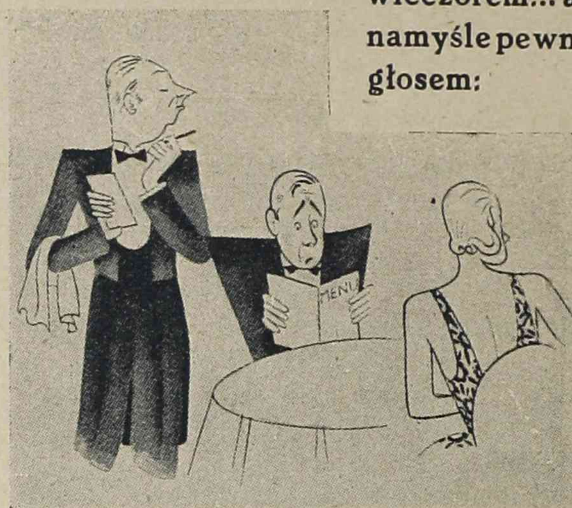
W „Orbisie" lub u „Coocka" kup, lub lepiej wyproś nalepki najwytworniejszych hoteli całego świata, przyozdób niemi artystycznie swój kufer i jazda dookoła Polski za zniżkowym biletem okrężnym. Krynica — Zakopane — Ciechocinek — Gdynia. Możesz jeszcze odwiedzić Częstochowę, jak długo trwa rok jubileuszowy z racji 550-lecia. Zjeżdża tam elita kraju, dygnitarze. Twój kufer zrobi dobre wrażenie, to może ci się kiedyś przydać.

Zawieraj znajomości od niechcenia, niby miło ci poznać, a boisz się pospolitować. Bądź wyrozumiały i lekko znudzony. Pytany o zawód, nie odpowiadaj wprost. Bez pośpiechu daj do zrozumienia, że gdyby nie dzisiejsze stosunki... Opowiadanka w rodzaju: „Proponował mi Oleś, że o ile Ignaś się zgodzi, to obejmę ewentualnie..." — nie są na miejscu. Znają się już na tem i ten genre pobudza do podejrzliwych refleksji.





Wieczorem, około 9-tej, jadasz podczas urlopu obiad, nie kolację. Smocking obowiązuje. Rozumie się, że przedtem zawiązujesz dystyngowaną znajomość z wytworną damą, która, ucieszona znalezieniem w tej „nudnej dziurze człowieka swojej sfery", zastrzega się, że każdy płaci za siebie. Nie gap się na menu i nie rób przestraszonej miny na widok cen. Zamów łososia, odwołaj go po chwili, przypomnij sobie, że lekarz zakazał ci wieczorem... a po namyśle pewnym głosem:



— Proszę trzy jajka, niezbyt miękkie — średnio ciepłe! — Pieczywo raczej suche, przyrumienione i masło, aby prawdziwe!

Będzie taniusio i zrobi świetne wrażenie!

Podczas flirtu ze swoją towarzyszką nie zwracaj zbytniej uwagi na inne panie.



Łatwo o nieprzyjemny wypadek: zamiast usłużyć ogniem swej pozłacanej zapalniczki, możesz oparzyć jej nosek.

O ile nie masz odpowiedniego do fraka palta i kapelusza, idź raczej bez tych, niekoniecznych w lecie, dodatków. Zwal brak na głupotę boya, który pakował ci rzeczy w Bristolu w Oxfordzie.

Ani się waż brać do fraka sportowej jesionki w kraty!

Z szoferem nie targuj się, to nie uchodzi. O ile licznik wybije np. 2.80 gr., daj mu 2.90.

— Reszta dla was, dobry człowieku!



PER ASPERA — AD ASTRA —!

Wakacje się skończyły; młodzież na nowo zabiera się do pracy pod hasłem: „Per aspera ad astra". Dla młodzieży szkolnej i rodziców druga część tego pięknego rzymskiego przysłowia — „Ad astra" to przedewszystkiem znany sklep z przyborami szkolnymi i materjałami piśmiennymi przy ul. Nowy Świat 1 — róg Placu Trzech Krzyży; tam zaopatrują się oni od szeregu lat w to wszystko, co im do nauki szkolnej jest potrzebne.

Również i w tym roku fir. „Ad Astra" posiada całkowity asortyment towarów potrzebnych dla uczącej się młodzieży, przygotowany w ścisłym porozumieniu z władzami szkolnemi, t. zn. że wszystkie przybory są takie, jakich wymaga szkoła. A zatem do widzenia, młodzi przyjaciele, w firmie „Ad astra".

Teatry Miejskie w Warszawie

W Teatrze Narodowym „Tajemnica zamku Leftsbury" zdobyła sobie duże powodzenie. Dzięki znakomitej grze Gorczyńskiej, Węgrzyna, Brydzińskiego, Gawlikowskiego i wszystkich innych artystów, biorących udział w przedstawieniu, sztuka robi ogromne wrażenie, przykuwa uwagę fabułą niezwykle interesującą i nawskroś nowoczesną. Scena, kiedy Brydziński, jako sławny chirurg, zdejmuje bandaże z twarzy Gorczyńskiej, która przez cudowną operację odzyskuje swą niezwykłą urodę, należy do najbardziej fascynujących. „Tajemnica zamku Leftsbury" ma zapewnione powodzenie: któraż z kobiet nie będzie chciała zobaczyć tej sztuki?

W Teatrze Letnim sukces „Rulety" rośnie z każdym tygodniem. Lubieńska, Różańska, Junosza-Stępowski, Grabowski i Wesołowski tworzą zespół niezrównany. Dawno już, może od czasu „Omal nie noc poślubna", nie panował na widowni nastrój równie pogodny i radosny. Lubieńska stała się odrazu jedną z ulubienic publiczności. Co znaczy rola — i talent!

Teatr Nowy otwarty będzie za dwa tygodnie komedją Deval'a „Mademoiselle". Obsada świetna: Ćwiklińska, Dulęba, Lubieńska, Łapiński, Orwid, Roland.

Więc kto nie widział „Rulety", niech się spieszy. Albowiem, wraz z otwarciem Teatru Nowego, „Ruleta" zejdzie z repertuaru Teatru Letniego.

Nasi artyści zagranicą



Gwiazdor polski, Igo Sym, osiadł na skale w miłem towarzystwie swej partnerki Camilli Horn. Sądząc z wyrazu twarzy nie daje sygnałów S. O. S.



Urocza artystka warszawska, p. Kazimiera Skalska, w poszukiwaniu właściwej drogi w Oxfordzie przykuła do swego samochodu dyżurnego policjanta

Ś. p. dr. Zygmunt Monsiorski

W dniu 24 sierpnia r. b. zmarł nagle na udar serca w czasie egzaminów uczenic na akuszerki, ś. p. dr. Zygmunt Monsiorski, docent uniwersytetu warszawskiego,



Ś. P. DR. ZYGMUNT MONSIORSKI

ordynator szpitala Przemienienia Pańskiego na Pradze, prezes i założyciel Warszawskiego Towarzystwa Ginekologicznego. Zmarły lekarz doktoryzował się na uniwersytecie paryskim. Po powrocie do kraju poświęcił się swej pracy zawodowej, kładąc na tej niwie poważne zasługi. Niezależnie od działalności lekarskiej oddawał się z zamiłowaniem pracy naukowej, pozostawiając wiele dzieł z dziedziny medycyny ginekologicznej.

Będąc gorącym patrjotą pracował usilnie nad szerzeniem oświaty wśród mas, za co był w 1896 r. przez najeźdźców moskiewskich aresztowany i więziony w cytadeli przez szereg miesięcy, w 1908 roku został uwięziony ponownie za zorganizowanie bibljoteki dla ludu wiejskiego i rozpowszechnianie pośród niego książek patrjotycznych. Przed rokiem ofiarowano ś. p. Dr. Zygmuntowi Monsiorskiemu katedrę położnictwa i chorób kobiecych na uniwersytecie Jana Kazimierza we Lwowie, lecz tego stanowiska nie przyjął ze względu na nadwątlony stan zdrowia. Żył lat 66.

Przez nieoczekiwany zgon ś. p. Zygmunta Monsiorskiego, świat lekarski i szerokie koła naszego społeczeństwa ponoszą ciężką stratę. Cześć Jego zasłużonej pamięci.

Zgon znakomitego kompozytora

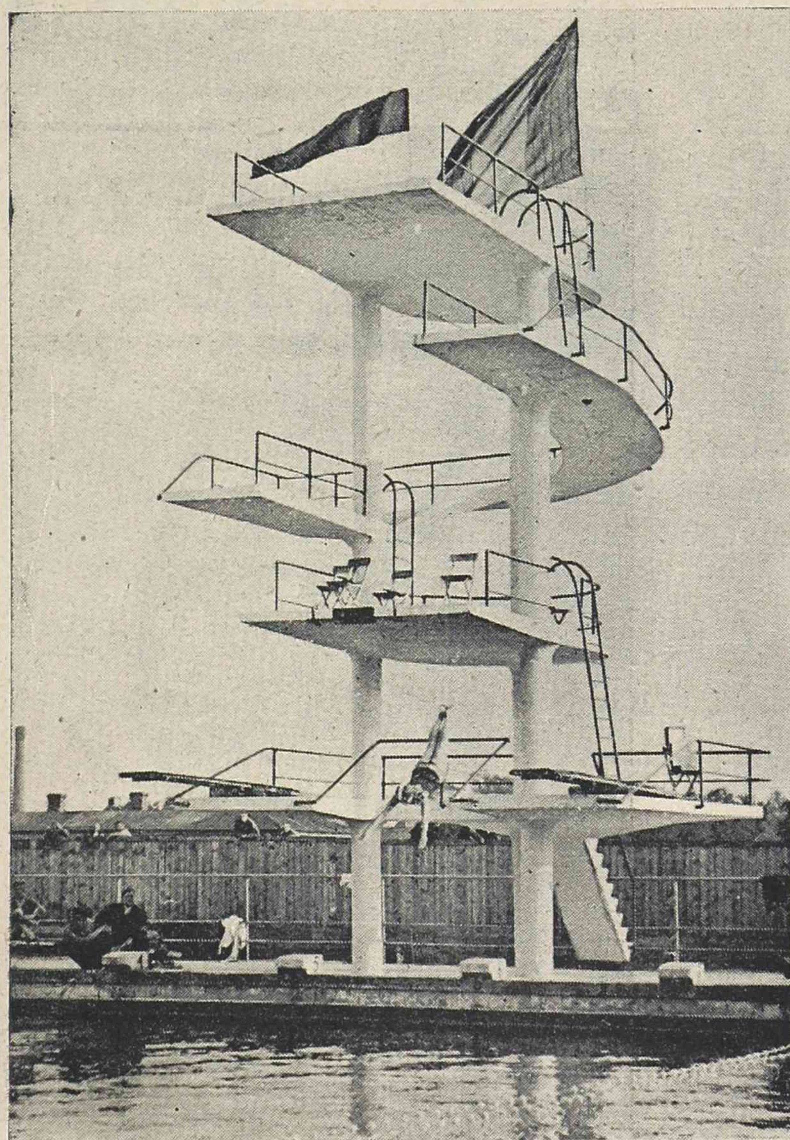


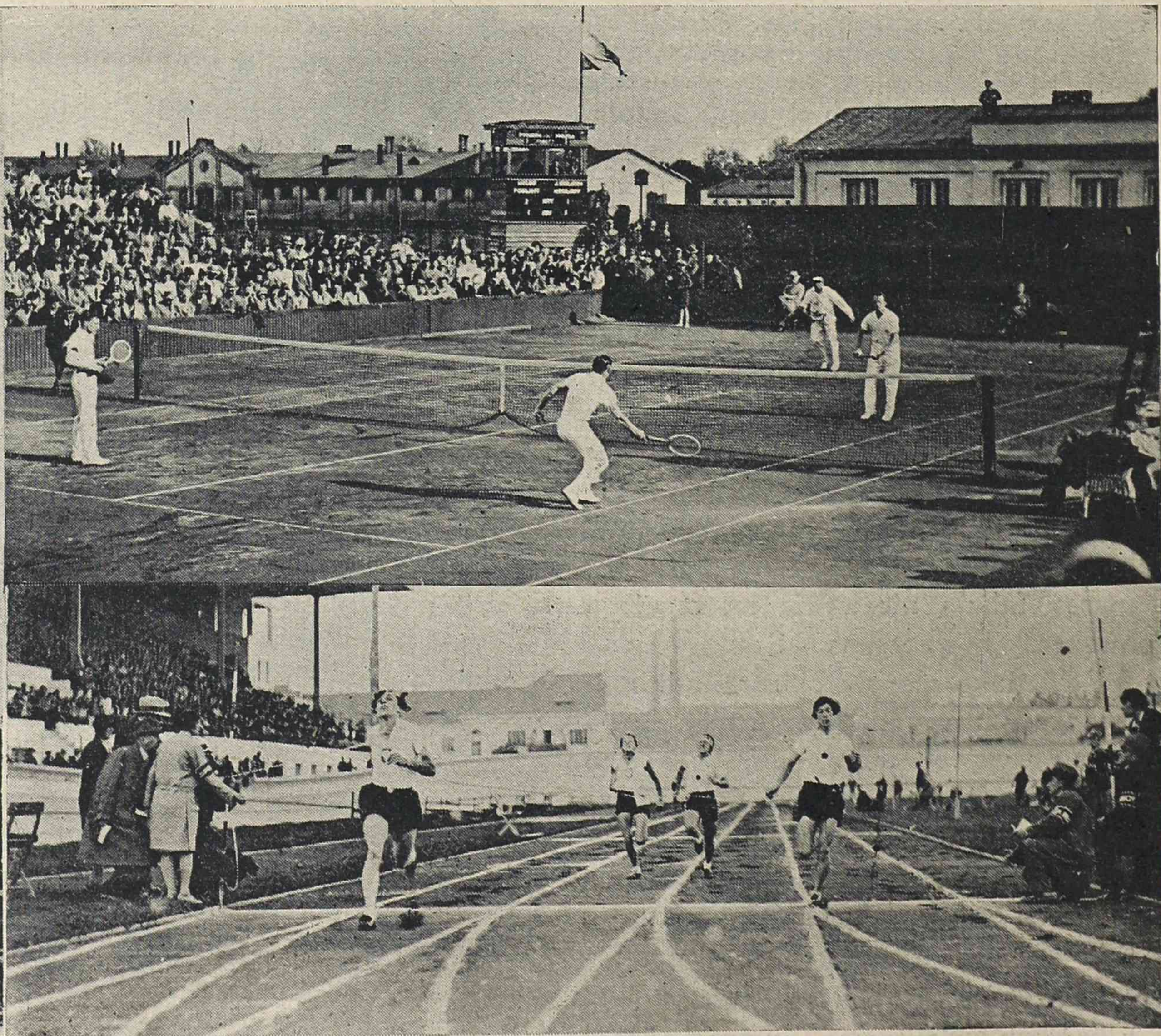
TADEUSZ JOTEYKO,

b. profesor Konserwatorjum warszawskiego, autor opery „Zygmunt August i Barbara" oraz wielu innych utworów muzycznych wielkiej wartości, zmarł w Cieszynie, dnia 20 sierpnia r. b.

OBLICZE NOWEJ WARSZAWY

WOJSKOWY KLUB SPORTOWY „LEGJA"





WSPANIAŁA SKOCZNIA W. K. S. „LEGJI" (U GÓRY) JEDEN Z REPREZENTACYJNYCH KORTÓW „LEGJI". (U DOŁU) OGÓLNY WIDOK STADJONU „LEGJI"

HUMOR



— Dokąd jedziesz?
— Do Hiszpanji.
— Przyślij mi choć pocztówkę.
— Nie będę miał czasu. Jutro wracam.

— *Jak ci się podobały suknie pań?*

— *Doprawdy, nie zauważyłem nawet...*

— *Jakto?*

— *Bo nad stołem nie można było sukien zobaczyć, widać było tylko dekoltaże.*

HUMOR

— *Tato, czy misjonarz idzie do nieba?*
— *Naturalnie, Andrzejku!*
— *A ludożerca?*
— *Rzecz jasna, że nie.*
— *No dobrze, ale gdy ludożerca zje misjonarza?...*

*

U dentysty.

— *Co, ten pański uczeń ma mi wyrywać ząb?*
— *Niech pan będzie spokojny! Ja sam go wyrwę, on go tylko trochę rozrusza!*

DAWNIEJ A DZIŚ

Niedawne to czasy, kiedy dla człowieka, dotkniętego kalectwem, życie stawało się ciężkiem, samym zaś swoim wyglądem ułomny, budził wstręt wśród otoczenia. Lecz umysł ludzki nie próżnuje! Rozwój i udoskonalenie sztuki ortopedycznej doprowadziły do zastosowania sztucznych rąk i nóg — protez, imitujących do złudzenia kończyny naturalne; ich zastosowanie praktyczne nie wywołuje u kalek przykrego uczucia i nie rażą one ogółu swoim wyglądem.

Jednakowoż, ażeby środek ten odpowiadał w zupełności swemu celowi, niezbędnem jest umiejętne, dokładne i precyzyjne wykonanie protez.

Pod tym względem celuje „Pracownia Ortopedyczna Ignacego Jaworskiego", egzystująca od roku 1921 i mieszcząca się w Warszawie, przy ul. Targowej № 38 m. 6, tel. 10-21-28. Solidnie i umiejętnie wykonywa ona wszelkie zlecenia, dane przez lekarzy, lecznice, szpitale i osoby w tym zakresie kompetentne. Duże znaczenie ma to, że firma obsługuje o każdej porze zgłaszających się z prowincji.

Samochody i motocykle na starożytnym rynku miasteczka



ZJAZD SAMOCHODÓW I MOTOCYKLI DO KAZIMIERZA NAD WISŁĄ, ZORGANIZOWANY PRZEZ SEKCJĘ SAMOCHODOWĄ POLSKIEGO TOURING KLUBU W DNIU 28 SIERPNIA Fot. „Prasa"

ROZRYWKI UMYSŁOWE

№ 60 (163) PRÓBA DOMYŚLNOŚCI

(6 punktów).

Za trafne rozwiązanie niniejszego zadania Redakcja „Świata" przeznacza dwie wartościowe nagrody książkowe.

W przedziale 2-iej klasy pociągu pośpiesznego, idącego z Warszawy do Krakowa, jedzie trzech podróżnych. Są to panowie: Andrzej, Benedykt i Cezary. Jeden z nich jest wojskowym, pozostali dwaj — to cywile.

Pan Andrzej jest trzydziestoparoletnim blondynem o zdrowej, mocno opalonej cerze. Pan Benedykt, pięćdziesięcioletni, dość korpulentny jegomość w binoklach, ma przy sobie jedynie niewielką walizeczkę podręczną i jedzie do Piotrkowa, dokąd został wezwany za poradą jednego ze swych kolegów. Spodziewa się jeszcze tegoż dnia wrócić do Warszawy, gdyż wypadek nie jest groźny, lecz tylko ciekawy, zwłaszcza dla niego, znanego z badań w tej dziedzinie.

Pan Cezary jest trzydziestokilkoletnim brunetem, kawalerem i wraca do Lwowa, gdzie od roku przebywa 22-letni syn pana Benedykta. Pan Andrzej jedzie do Krakowa na ślub siostry, poczem wraca wobec końca wakacji do kresowej mieściny, gdzie przebywa od kilku lat, a w której jedyną atrakcją, poza familijnym bridżem, są zabawy taneczne, dające sposobność do przyjemnej wypitki po trudach monotonnej pracy zawodowej.

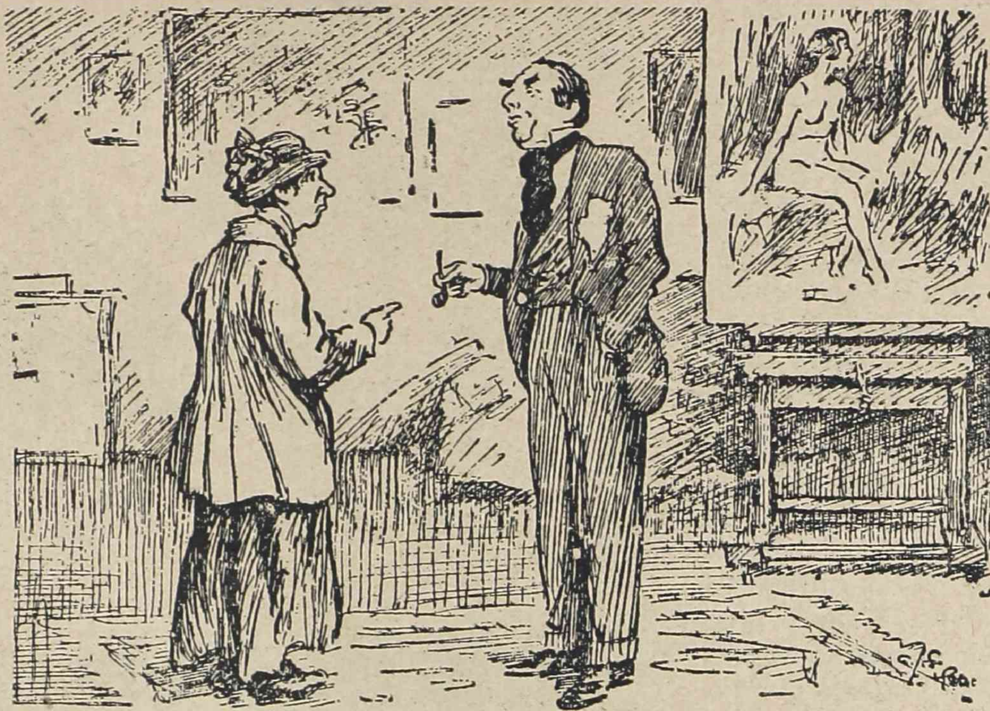
Pan Cezary ma przy sobie jedynie plik gazet, które przegląda ze znudzeniem, i torebkę z owocami, gdyż nie znosi wożenia ze sobą pakunków, krępujących swobodę ruchów. Pan Benedykt ma ozdobnego Watermanna, pan Andrzej zaś skromne „Platignium" za 5 złotych, nieodłączny notes-kalendarz, Krzyż Walecznych i odznakę pułkową.

Pan Cezary ma siostrę, która wyszła zamąż za kolegę pana Andrzeja i z tego powodu zerwała z rodziną, która pragnęła dla niej lepszej partji. Natomiast syn pana Benedykta, zdradzający zamiłowania do pracy społecznej, mimo podziwu, jaki ma dla zalet pana Cezarego, zamierza poświęcić się zawodowi, w którym pracuje pan Andrzej, choć ojciec pragnąłby go skierować do zawodu, jakiemu sam się poświęcił i który zarówno w czasie pokoju, jak i w czasie wojny daje szerokie pole do pracy.

Pan Andrzej lubi dzieci, badania ich psychiki, jazdę konną, pan Cezary jest znakomitym szachistą, a pan Benedykt poza bridżem lubi muzykę i posiada piękny księgozbiór.

Który z trzech podróżnych jest wojskowym i w jakich zawodach pracują dwaj pozostali?

HUMOR ZAGRANICZNY



U MALARZA

— Nadaje mi się pani doskonale na model. Płacę po 5 zł. za godzinę.

Kobieta, spoglądając na świeży obraz.

— Dobrze, ale uprzedzam pana, że poza kapeluszem niczego nie zdejmę.

DRUGI LOT DO STRATOSFERY

NAPEŁNIANIE BALONU PROF. PICCARDA GAZEM W DÜBENDORF POD ZURICHEM. NA PRAWO PROF. PICCARD, NA LEWO JEGO ASYSTENT INŻ. COSYNS

Z EKRANU



LINA NIKOLSKA, MŁODA, UTALENTOWANA ARTYSTKA FILMOWA, UKAŻE SIĘ W CZOŁOWEJ ROLI W FILMIE „NA DNIE"

Bardzo na czasie, w roku jubileuszowym, ukazał się z inicjatywy pp. kom. J. Mazura i inż. Łazarskiego, krótki przewodnik po Częstochowie. Wydany jest on, wzorem zagranicznych prospektów miejscowości kąpielowych, jako podłużny, składany zeszycik, ozdobiony kilkoma ilustracjami. Bardzo to dogodna i estetyczna forma.

Poza zwięzłemi dziejami Częstochowy, ze szczególnem uwzględnieniem klasztoru Jasnogórskiego, zawarte są tam wiadomości o uprzemysłowieniu i rozwoju miasta, o głównych ulicach, parkach, kościołach i gmachach, o miejscowych zwyczajach i tradycjach, wreszcie o okolicach Częstochowy. Dla cudzoziemców wszystkie te informacje podano w języku francuskim.

M. in. dowiadujemy się z tego prospektu, że Częstochowa jest jedynem miejscem w Polsce, gdzie dotychczas zachował się zwyczaj wesołego obchodzenia zapustów na ulicach miasta — jakby w Nicei. — Moment ten dałby się świetnie wykorzystać dla intensyfikacji turystyki w sezonie zimowym.

Wydany w 20 tys. egzemplarzy, prospekt przyczyni się bezwątpienia do spotęgowania ruchu turystycznego do Częstochowy, którą powinien odwiedzić każdy Polak zarówno ze względów religijnych, jak krajoznawczych. Jest to bowiem jedno z najciekawszych i najładniejszych miast polskich.

KĄPIEL WSZĘDZIE

Aparaty kąpielowo-prysznicowe „Skaut" do użytku domowego i turystycznego.

Kwestja higjeny jest troską wszystkich, którzy nie mają możności używania łazienek domowych, lub też warunki nie pozwalają im na nabycie drogich urządzeń kąpielowych.

Firma „Skaut" w Warszawie, Smolna № 38-17, idąc śladem Państw zachodnich, przystąpiła do produkcji tanich i praktycznych aparatów kąpielowych, turystyczno-domowych i aparaty te cieszą się wielkiem powodzeniem.

Aparat „Skaut", wykonany ze specjalnego, podwójnie impregnowanego materjału gumowego, z metalowym prysznicem o pojemności 12 litrów wody ze wszystkiemi przynależnościami waży niespełna 400 gr., a kosztuje zaledwie 18 zł.

Francja sprzedała tych aparatów w ciągu jednego miesiąca 42.000 sztuk, co dowodzi, jak aparat taki jest praktyczny i celowy.

Aparaty kąpielowe „Skaut" wykonywuje się w Polsce z polskich materjałów i ręką polskiego robotnika.

Dzisiaj, kiedy każdy zdaje sobie jasno sprawę, co znaczy woda dla utrzymania koniecznych warunków higjenicznych, jak dzięki odpowiednim natryskom wzmacniamy organizm i uzyskujemy siły, jak kuracyjna kąpiel prysznicowa uspakaja nerwy, pewnem jest, że aparat, „Skaut" bez krzyczącej reklamy zainteresuje każdego.

Mistrzostwa Polski w tenisie

Finał gry pań



JĘDRZEJOWSKA I VOLKMERÓWNA BIJĄ CRAMEN I ERTEL (NIEMCY)

HUMOR WAKACYJNY



— A jak tam twoje pożycie z drugą żoną?

— Doskonale, jeszcze nie wróciła z Krynicy.

CENY PRENUMERATY: w Warszawie odbiór na miejscu miesięcznie 5.— zł., kwart. 15.— zł., z odnoszeniem do domu mies. 5.50 zł., kwart. 16.50 zł., na prowincji mies. 6.— zł., kwart. 18.— zł. Zagranicą mies. 8.— zł., kwart. 24.— zł., półr. 48.— zł., rocznie 96.— zł.

PRENUMERATĘ „ŚWIATA" PRZYJMUJĄ: w WARSZAWIE: Administracja „Świata", Szpitalna 12. Telefon Administracji 504-00 i 501-51. Konto czekowe P. K. O. 3755 oraz wszystkie większe księgarnie. W ŁODZI: biuro dzienników i ogłoszeń „PROMIEŃ", Piotrkowska 81. Księgarnia „Czytaj", Narutowicza 2. Księgarnia Ludwika Fiszera, Piotrkowska 47. W KATOWICACH: Księgarnia Ludwika Fiszera, Poprzeczna 1. We LWOWIE: Oddział Tow. „Ruch". POZNAŃ: Gwarna 16.

CENA NUMERU W WARSZAWIE I NA PROWINCJI 1 zł.

Redaktor *St. Krzywoszewski.* Wydawcy: Akc. Tow. Wydawnicze „ŚWIAT". Druk. Galewski i Dau, Warszawa

„POLONIA"

Umieszcza codziennie artykuły najsławniejszych publicystów z całej Polski.

Największe pismo polskie wydawane w Katowicach, stolicy Województwa Śląskiego.—Wychodzi 7 razy tygodniowo.—Pismo o stale wzrastającym nakładzie.

BEZKONKURENCYJNY ORGAN OGŁOSZENIOWY.

Ogłoszenia do „**Polonii**", przyjmują wszystkie biura ogłoszeń.

Adres Administracji: Katowice, Sobieskiego 11. Telefon: 959, 960, 961, 962. Adr. telegr.: Redpol, Katowice.

ODDZIAŁY:

Miejski, Katowice, ul. Marjacka 5
Król.-Huta, Zjednoczenia 2, tel. 6-25
Rybnik, ul. Zamkowa 8, tel. 27

Sosnowiec, ul. 3-go Maja 5a, tel. 5-12
Poznań, Al. Marcinkowskiego 13, tel. 58-73
Warszawa, Marszałkowska 97, tel. 671-21

WYDAWCA: ŚLĄSKIE ZAKŁADY GRAFICZNE i WYDAWN. „POLONIA" S.A. w KATOWICACH

W TRAMWAJU



— **Dlaczego to dziecko tak płacze?**
— **Ono tak zawsze, kiedy widzi, że mam rzemień w ręku!**

CERĘ udelikatnia, zapobiega zmarszczkom i rozgładza Krem

MISS POLONJA

nadając wygląd świeżości i młodości.

Pod puder niezastąpiony Krem

ZULA Klimeckiego

Warszawa, Niecała 5.

REKLAMA JEST DUSZĄ HANDLU



OBOWIĄZKIEM KAŻDEGO OBYWATELA JEST WZIĄĆ UDZIAŁ w AKCJI PRZECIWGRUŹLICZEJ KUP NALEPKĘ PRZECIWGRUŹLICZĄ!!!!



Stefan Krzywoszewski

TEATR

I TOM:
WALKA — GŁUSZEC — KOLOMBINA.
II TOM:
PANIENKA Z DANCINGU — AKTORKI — RUSAŁKA.
III TOM:
NOC SYLWESTROWA — ZMARTWIENIA PANA HAMMELBEINA — EDUKACJA BRONKI.

Cena księgarska 3 tomów zł. 30

Dla prenumeratorów „Świata" wyznaczyliśmy zniżkę na zł. 12.

KUPON ZNIŻKOWY Nr. 29

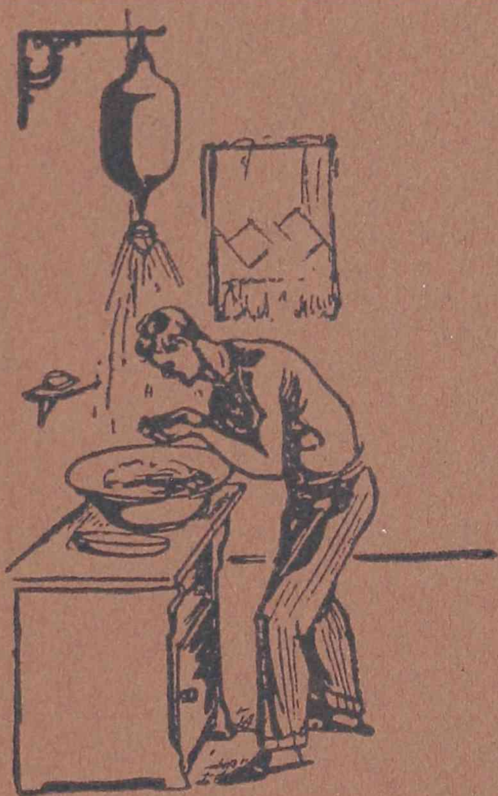
DO TEATRU NARODOWEGO I LETNIEGO W WARSZAWIE

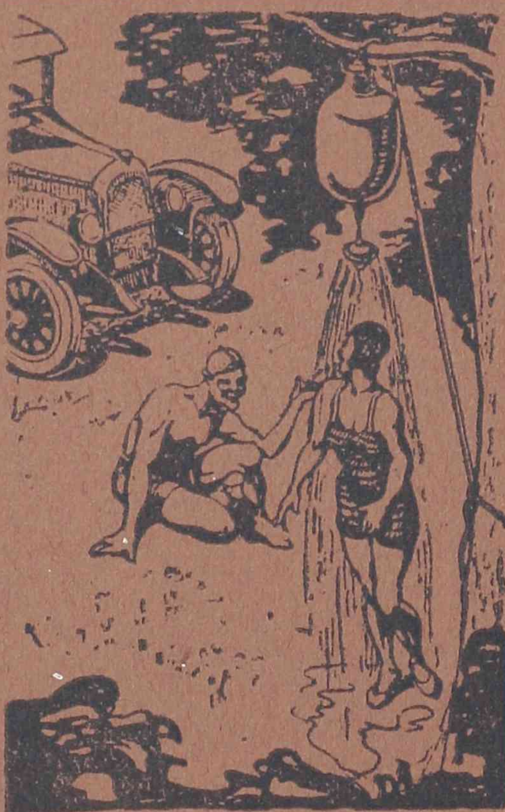
ważny od 2 do 8 września r. b. włącznie, z wyjątkiem niedziel, sobót, świąt, dni przedświątecznych i premjer.

50%

Niniejszy kupon tygodnika „ŚWIAT" uprawnia do nabycia w kasie jednego z powyższych teatrów, o ile wolnych miejsc starczy, w dniu przedstawienia od godziny 6-ej po południu biletu dla jednej osoby ze zniżką. Jedna osoba ma prawo nabywać nie więcej, jak cztery miejsca ulgowe jednorazowo. Przy cenach popularnych zniżka 50% oblicza się od cen normalnych.

PRZYRODOLECZNICTWO TO POTĘGA — WODA, SŁOŃCE, POWIETRZE TO JEGO FILARY!


W domu


Automobiliści


Na letnisku


W domu

SKŁADANY TURYSTYCZNO-DOMOWY
A P A R A T K Ą P I E L O W Y „SKAUT"
zawsze gotowy do użytku nie wymaga żadnych dodatkowych przyrządów.

Pojemność: 12 litrów wody.
Waga aparatu: **30 kg.** (można go nosić nawet w kieszeni)

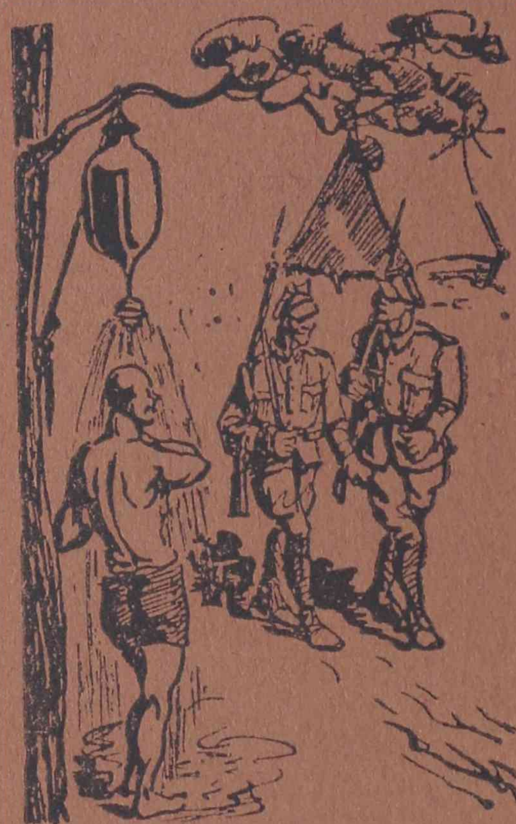
Kąpiel wszędzie

u m o ż l i w i a p r a k t y c z n y, t a n i, patentowany aparat prysznicowy „SKAUT"
w m i e ś c i e — n a l e t n i s k u — n a w s i — w d o m u.

Jednem słowem WSZĘDZIE nawet tam, gdzie niema WODOCIĄGU, ŁAZIENKI, STAWU, RZEKI **M O Ż E K A Ż D Y W K A Ż D E J C H W I L I** wziąć zdrową, krzepiącą, kuracyjną kąpiel prysznicową

LICZNE REFERENCJE, UZNANIA, LISTY POCHWALNE i PODZIĘKOWANIA

ZASTĘPSTWA DO ODDANIA JESZCZE TYLKO NA KILKA POWIATÓW


Na ćwiczeniach



Aparatu „Skaut" używam:
do natrysków kuracyjnych
- „ mycia głowy
- „ polewania kwiatów
- „ noszenia wody
- „ napełniania chłodnicy

Niema racjonalnej kąpieli słonecznej bez aparatu „SKAUT"

WZMOCNISZ ORGANIZM! ODZYSKASZ SIŁY!

Potrawa bez witamin — kąpiel bez prysznicy nie osiągają celu.

PRAKTYCZNE, DOBRE i TANIE!

Kompletny aparat prysznicowy „SKAUT" z hakiem, linką, metalowym prysznicem, z wentylem gumowym, zamknięciem pociągowem wentyla **18 zł.**

Koszta przesyłki pocztowej — 1.50 zł.

Wysyłka tylko za nadesłaniem należytości lub zaliczeniem pocztowem.

Przy zamówieniu karta pocztowa wystarczy.

Dla urzędników, wojskowych i t. p. wyjątkowo na 3 raty miesięczne po 6 zł. — z tem, że pierwsza rata płatną jest przy zamówieniu.

Wszelkie słuszne zastrzeżenia zamawiających z góry akceptujemy.

„SKAUT" S-KA Z OGR. ODP.
NOWOŚCI TECHNICZNE i SPORTOWE
Warszawa, Smolna 38/17—Tel. 320-67

Wyciąć i przechować!

Druk. Galewski i Dau, Warszawa